

LEIGH MICHAELS

Szalony plan

(Dating Games)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zapowiadał się tak piękny jesienny dzień, że Rachel bez namysłu postanowiła pójść do pracy pieszo. Była zadowolona, że założyła swój nowy wełniany kostium, ponieważ wiał rześki październikowy wiaterek. Mimo to świeciło słońce, a w jego promieniach nabierały blasku czerwone, złote i żółte liście drzew, rosnących wzdłuż cichych uliczek mieszkaniowej dzielnicy Lakemont.

Idąc Rachel słyszała miły chrzęst suchych liści pod stopami. Kiedy przechodziła pod okazałym klonem, żółty liść opadł jej na włosy tworząc malowniczą jasną plamę na jej ciemnych, miedzianych lokach.

Na pobliskim trawniku sześcioro dzieci ułożyło ogromny stos z suchych liści i teraz świetnie się bawiły wskakując w sam jego środek. Przez moment Rachel miała ochotę dołączyć do nich, ale po chwili z uśmiechem pokręciła głową. Nawet dzieciom ciężko będzie wytłumaczyć się, dlaczego ich ubrania są takie zakurzone, a co dopiero jej. Rozsądne, pracujące kobiety nie robią takich rzeczy. A przynajmniej nie przed pracą, dodała w myślach. I nie wtedy, kiedy mają na sobie nowy kostium.

Na rogu ulicy skręciła i znalazła się na terenie Uniwersytetu Nicolet. Na widok dziedzińca otoczonego różnokolorowymi jesiennymi drzewami poczuła, że ściska ją w gardle.

Cieszyła się z powrotu do miejsca, gdzie pory roku tak wyraźnie się od siebie odróżniają. Stęskniła się za powolnym rytmem przyrody, za rozkwitem delikatnej wiosennej zieleni, za bujnością lata, która przechodzi potem w bogactwo jesiennych barw...

– I wreszcie w lodowatą zimę – zamruczała do siebie. Zobaczymy, czy będzie w takim nastroju za kilka miesięcy, brnąc w śniegu po kolana i marznąc od podmuchów lodowatego arktycznego wiatru. Wtedy prawdopodobnie pożałuje, że nie jest w Arizonie.

Na myśl o tym miejscu opuścił ją dobry humor. Wróciły smutne wspomnienia. Nic, postanowiła stanowczo, nic nie zmusi jej do powrotu do Arizony.

Była trochę niesprawiedliwa. Przecież w końcu sam stan Arizona nic jej nie zawinił. Chodziło tylko o paru jego mieszkańców.

Usłyszała, że ktoś ją woła i odwróciła się. Kilkadziesiąt metrów za sobą zobaczyła ubraną w kraciatą marynarkę kobietę, która pomachała jej i przyspieszyła kroku.

Dawn Morgan ma widocznie poranne wykłady, pomyślała Rachel i zawróciła, żeby się z nią przywitać.

– O czym tak myślałaś, Rachel? – Dawn oddychała ciężko. – Biegłam za tobą, wołałam, ale ty nic nie słyszałaś.

– Przepraszam, podziwiałam drzewa.

– Są piękne, prawda? – Dawn, idąc u boku Rachel, szurła nogami po suchych liściach. – Mam tylko nadzieję, że taka pogoda utrzyma się przez następne dwa tygodnie, aż do Święta Jesieni. W tym roku tak późno je organizują, że być może drzewa zupełnie nie będą już miały liści.

– I co wtedy? Nie będzie żadnego święta?

– Coś ty! Odwołanie Święta Jesieni równa się rezygnacji z najważniejszej imprezy Uniwersytetu. Niezależnie od wszystkiego, będziemy je obchodzić. Zobaczysz, że ci się spodoba.

Rachel wzruszyła ramionami.

– Czy to nie tylko jeszcze jeden uliczny festyn?

– Zaufaj mi – roześmiała się Dawn. – Nie da się go opisać ani wytłumaczyć, na czym polega. To trzeba przeżyć. Nie biorąc w tym udziału, nie możesz czuć się naprawdę związana z Nicolet. A jakie masz plany na ten weekend? – Spojrzała na Rachel.

– Zawieszę półki na książki w salonie. Dlaczego pytasz?

Oczy Dawn rozbłyły.

– Mam nadzieję, że znalazłaś przystojnego stolarza?

Powinam była przewidzieć to pytanie, westchnęła w duchu Rachel.

– Chociaż ty mnie oszczędź – poprosiła. – Czy nie wystarczy, że moja szefowa uważa, że jej siostrzeniec byłby dla mnie idealną partią? Muszę z nią pracować, więc nie mogę jej po prostu powiedzieć, że randka z Geraldem to ostatnia rzecz, na którą miałabym ochotę. A kiedy jeszcze moi przyjaciele zaczynają mnie swatać, to...

– Cóż, przyznaj sama, że stanowisz wyzwanie – odparła rozbawiona Dawn. – Jesteś tu już cztery miesiące i najwyraźniej nie spotkałaś jeszcze żadnego interesującego mężczyzny. Gdyby tobie samej na tym zależało...

– To nieprawda. Weźmy na przykład Teda Lehmana. Spędziłam z nim dużo czasu w zeszłym tygodniu, kiedy lecieliśmy do Minneapolis na tę konferencję poświęconą pomocy finansowej dla studentów.

– Rektor Lehmann się nie liczy. Ma pięćdziesiąt trzy lata, sześcioro wnucząt i jeśli zostawiłby swoją żonę dla asystentki dyrektora do spraw socjalnych, na Uniwersytecie ogłoszono by koniec świata.

– Dawn, jeśli masz na myśli „wolny mężczyzna”, to nie mów „interesujący”.

– Doskonale wiesz, co chciałam powiedzieć.

– Nie szukam sobie faceta. – Ton Rachel był stanowczy. Może zbyt stanowczy, zreflektowała się, widząc podejrzenie w oczach Dawn. Spróbowała wszystko obrócić w żart.

– Nie potrzebuję żadnego mężczyzny do pomocy. Sama poradzę sobie z półkami. Parę desek, podpórek, śrubokręt, wiertarka... I po co tu stolarz?

– Jak najbardziej jestem za samowystarczalnością. Poza tym nikt tu nie mówi o poważnym związku. Ale skoro zbliża się Święto Jesieni i tak w ogóle...

– Wiem, co się dzieje. – Rachel pstryknęła palcami. – To taka choroba, Dawn. Kiedy jest się świeżo po zaręczynach, wydaje się, że każdy człowiek powinien stanowić połowę pary. Ale nie martw się, to z czasem przechodzi. Weź po prostu dwie aspiryny...

– Już dobrze, poddaję się. Niech zajmie Cię tobą twoja szefowa. Może Gerald nie okaże się wcale taki zły.

– Nie śmiej się ze mnie. Aż mnie ciarki przechodzą na samo wspomnienie. W zeszłym tygodniu nie byłam w stanie znaleźć żadnego wiarygodnego wykrętu i musiałam pójść na kawę z Geraldem.

– I co, tak tragicznie?

– Gorzej.

– To wcale nie znaczy, że wszyscy mężczyźni w Lakemont są tacy. Jason ma nowego kolegę w pracy...

– Sądziłam, że się dogadałyśmy. Dawn jakby wcale jej nie słuchała.

– Spytałam Jasona, czy jego kolega nie chciałby pójść na Święto Jesieni razem z nami. Stanowilibyśmy niezłą czwórkę. Wiesz, to nie jest ta sama frajda, jeśli się przyjdzie samemu.

Rachel stanęła na pierwszym stopniu schodów prowadzących do budynku administracji. Spojrzała na przyjaciółkę.

– Powiedziałabym, że doceniam twoje starania, gdyby naprawdę tak było. Ale ja nie potrzebuję pomocy, Dawn. Mam pracę, która mnie absorbuje, mam różnych znajomych, w których towarzystwie dobrze się czuję. Ale chyba zwariuję, jeśli zaczniecie mnie umawiać na randki. Czy nie zapomniałaś o swoich wykładach?

Dawn westchnęła, spojrzała na zegarek i odwróciła się w kierunku budynku nauk humanistycznych.

– Nikt ci nie proponuje wyjścia za mąż w przyszłym tygodniu, Rachel, ale nie zaszkodziłoby ci trochę zabawy! – rzuciła odchodząc.

Rachel pokręciła głową. Uśmiechając się smutno, weszła na schody. Tak łatwo jest uszczęśliwić Dawn, pomyślała idąc do swojego biura. Szkoda, że je dzisiaj służbowy lunch, i to w dodatku z kobietą. Miło byłoby zakomunikować Dawn, że umówiła się, nawet jeśli oznaczałoby to późniejsze przesłuchanie.

W biurze do spraw pomocy finansowej dla studentów dużego uniwersytetu pracy nigdy nie brakowało.

W ciągu czterech miesięcy swojej pracy tutaj Rachel zorientowała się, jak bardzo wszyscy są tu zajęci. Nicolet było nie tylko uczelnią prestiżową, ale prywatną i ogromnie drogą, a to znaczyło, że większość studentów potrzebowała pomocy, aby opłacić swoją naukę. Październik, kiedy zaczęły napływać podania na rozpoczynający się rok akademicki, zapowiadał się szczególnie gorąco.

Zanim nadeszło południe, Rachel była przeświadczona, że rozmawiała już z połową studentów. Wstała od biurka w momencie, kiedy telefon znowu zaczął dzwonić. Czuła się trochę winna, że nie podnosi słuchawki. Ale był to ostatni moment, żeby się stąd wyrwać.

– Opuszczam ten dom wariatów – zwróciła się do swojej sekretarki. – Idę na lunch z panią Garrett, żeby przedyskutować zmiany w systemie stypendialnym dla studentów wydziału dziennikarstwa. Jeśli więc druga połowa studentów zacznie tu wydzwaniać, powiedz, że nie będzie mnie przez jakieś dwie godziny.

– To zabrzmiało jak prawdziwe westchnienie ulgi – odezwała się młoda ciemnowłosa kobieta, wstając z fotela w poczekalni. Przerzuciła przez ramię lekki płaszcz.

– Anne! – Rachel odwróciła się do niej. – Nie zauważyłam cię.

– A już myślałam, że to moja interesująca osobowość skłoniła cię do umówienia się ze mną na lunch. N aj wyraźniej jednak...

– Dlaczego nie dałaś mi znać, że już jesteś?

– Miałabym pozbawić cię zadowolenia z kilku dodatkowych minut pracy? – Annę Garrett potrząsnęła głową. – Przyszłam trochę wcześniej. Miałam spotkanie na wydziale dziennikarstwa. To cud, że skończyło się o czasie. Czy restauracja studencka ci odpowiada, czy może masz ochotę na małą zmianę otoczenia?

– Zjemy tutaj. – Jak mogła nawet przypuszczać, że Annę nie zrozumie jej zdenerwowania. Sama miała przecież niemało pracy. Nie tylko zajmowała się nowym programem stypendialnym dla studentów dziennikarstwa, ale była też zastępcą wydawcy „Kroniki”, najpoważniejszego źródła pomocy finansowej jakie miał Uniwersytet Nicolet. Rachel uważała ją również za jedną z najbardziej sympatycznych osób, jakie poznała w ciągu czterech miesięcy pracy.

Kiedy zajęły ostatni wolny stolik, Rachel zaczęła się tłumaczyć.

– Dziś rano w moim biurze wrzało jak w ulu. Formularze podaniowe zostały rozesłane miesiąc temu, ale oczywiście wszyscy zwlekali do ostatniej chwili z ich wypełnieniem. Telefony wprost się urywały.

– Znam dobrze taką sytuację. – Annę uśmiechnęła się. – To samo zdarza się u nas w redakcji. Czasem taki dzień skłania cię do myślenia, czy warto było awansować, prawda?

– Albo z tęsknotą myślisz o następnym awansie – przytaknęła jej Rachel. Już zdążyła sobie obmyślić nowe kierunki działania dla siebie, jako dyrektora do spraw pomocy finansowej, na wypadek przejścia na emeryturę obecnego szefa. Studentom pierwszego roku należy wydać jasne instrukcje, jak wypełniać formularze...

Emerytura jej szefowej oznaczałaby również uwolnienie się od Geralda.

Annę otworzyła menu.

– Czy kanapki są tutaj tak dobre jak kiedyś?

– Nie pytaj mnie o to – odpowiedziała Rachel. – Bo nie mam pojęcia, jakie były przedtem.

– Przepraszam. Tak szybko się tu zadomowiłaś, że aż trudno wprost uwierzyć, iż pracujesz zaledwie kilka miesięcy. – Obydwie zamówiły kanapki. Annę spytała: – Czy poznałaś już tu dużo osób?

– Sporo. Na Uniwersytecie łatwiej zawiera się znajomości, bo prawie wszyscy są spoza Lakemont. Środowisko jest tu bardziej otwarte dla przyjezdnych.

– Tutejsi ludzie są bardziej przychylni obcym i nie zadają przy tym kłopotliwych pytań – zgodziła się z nią Annę.

– Masz rację. Ale i tak nie mam za wiele czasu, żeby udzielać się towarzysko.

– Twój poprzednik zostawił po sobie niezły bałagan, co?

– Tak, chociaż nie tylko o to chodzi. Kiedy już się uporam z najpilniejszymi sprawami, mam zamiar zapisać się znowu na studia.

Annę przerwała mieszanie mrożonej herbaty.

– Moja droga, przecież ty już masz, czekaj... Trzy dyplomy?

– Tylko dwa.

– No jasne, w takim razie ten trzeci jest ci naprawdę niezbędny. – Annę uśmiechnęła się

do niej. – Czy myślisz, że udałoby ci się znaleźć trochę czasu i przyjść do nas na kolację w sobotę?

Zaproszenie na kolację do rodziny Garrettów to okazja, z jakiej nie można było nie skorzystać. Nawet jeśli Rachel nie miała zbytnio ochoty iść, nie mogła odmówić.

– Oczywiście – odpowiedziała.

– Świetnie. O siódmej. U nas, w Pemberton... – Annę przerwała, bo podeszła kelnerka i przyniosła talerze. – Czy jest ktoś, z kim chciałabyś przyjść? W przeciwnym razie, powiem mojemu znajomemu, żeby wpadł po ciebie.

O Boże, ona też, przeraziła się Rachel. Starła się nie zdradzić swojego zdenerwowania.

– Z czego bierze się to zamiłowanie w Nicolet do swatania? Wydaje mi się, że wszyscy jednocześnie wpadli na pomysł połączenia mnie z kimś.

– To chyba z powodu Święta Jesieni – odparła Annę. – Każdy szuka sobie kogoś na tę okazję. I nie zapominajmy o pogodzie. Kiedy nadchodzi jesień, zaczyna się myśleć o rozpalonym kominku i czyimś ciepłym ramieniu...

– To właśnie dlatego mam kota. Annę skwitowała jej słowa uśmiechem.

– Wybacz, jeśli zabrzmiało to nietaktownie. Nie miałam zamiaru z nikim cię swatać. Znasz te oficjalne kolacje. Spytałam, mając na myśli parzystą liczbę gości przy stole.

Rachel zagryzła wargi. Dobry Boże, zaczynam być przewrażliwiona na tym punkcie i widzę problem tam, gdzie go nie ma.

– Przepraszam, jak w ogóle mogłam przypuszczać, że... – Nie brzmiało to jednak przekonująco. Zaczęła znowu. – To tylko dlatego, że wszyscy...

Annę pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Dorie Lehmann wzięła się za ciebie, prawda?

– Żona rektora? zdumiała się Rachel.

– Nie? Ale znajdzie na to czas, na pewno.

– Po prostu chciałabym, żeby zostawiono mnie w spokoju – powiedziała cicho Rachel, krojąc kanapkę na pół.

– I pozwolono ci samej znaleźć sobie kogoś odpowiedniego? – Zabrzmiało to nieco melodramatycznie, ale w głosie Annę wyczuła współczucie. Już miała jej przytaknąć, lecz coś ją podkusiło, żeby wyznać prawdę.

– Nie. Wcale mi na tym nie zależy. Nie potrafię jednak nikogo przekonać, że to prawda. Nie jestem zainteresowana złapaniem żadnego faceta. – Według niej Annę Garrett nie powinna być tym zaskoczona. Sama postawiła na karierę, więc z pewnością nie wierzy, że kobieta nie może się w pełni zrealizować nie mając męża...

– To musi być dla ciebie bardzo frustrujące. Gdybyś jednak nie była tak bojowo nastawiona do tego pomysłu, to może daliby ci spokój. Czasem to się udaje. – Annę ugryzła kanapkę. Po chwili dodała z uśmiechem. – Tak, smakuje tak jak dawniej. Będziemy musiały tu częściej przychodzić. A teraz, Rachel, powiedz mi, co z tym programem stypendialnym? Sądziłam, że wszystko jest jasne.

Rachel, zadowolona ze zmiany tematu, natychmiast zaczęła wyjaśniać.

– Nie chodzi o nic poważnego, ale ten program ma już parę lat i zauważyłam kilka

punktów, które mogą działać na niekorzyść dobrze zapowiadających się kandydatów. To zdarza się bardzo często, niezależnie od tego, jak starannie opracowano system. Na przykład...

Prawie całe dwie godziny przeznaczone na lunch spędziły na omawianiu nowego pomysłu na program stypendiów. Po południu Rachel spisała wszystko dokładnie. Kiedy telefony przestały dzwonić, została jeszcze w biurze, żeby dokończyć pracę. Zamykała właśnie ostatni skoroszyt, gdy zaczęło padać.

Duże krople bębniły o parapet. Rachel jęknęła. Siedząc w sztucznie oświetlonym pokoju, nie zauważyła, że z nadejściem popołudnia niebo zaczęło się robić wyjątkowo ciemne i zachmurzone. Była tak skoncentrowana na pracy, że nie usłyszała odgłosów grzmotów. Reszta pracowników już wyszła, więc nie miał ją kto podrzucić do domu. Nie miała nawet płaszcz przeciwdeszczowego, a rano przecież włożyła nowy kostium. Zanim dojdę do domu, będzie wyglądał jak mokra szmata, pomyślała.

W szafce pod drewnianymi schodami, w budynku administracyjnym, znalazła spłowiała różową parasolkę w groszki. Co prawda, miała złamane dwa druty i Rachel obawiała się, czy wytrzyma napór ulewy, ale to było lepsze niż nic. Ostrożnie ją otworzyła i wyszła z budynku.

Szybko się przekonała, że to nie był łagodny, przelotny deszcz. Zimne krople chłostały ją po nogach jak kamyki, rzucane przez rozszluszczone dziecko.

Przeszła przez ulicę. Miała nadzieję, że schroni się w jednym ze sklepów naprzeciwko Uniwersytetu. Zdążyła jednak tylko wejść z powrotem na chodnik, kiedy zaczęło się prawdziwe oberwanie chmury. Jej parasolka złożyła się i Rachel, prawie oślepiąca deszczem, weszła w pierwsze lepsze drzwi.

Strzepując mokrą marynarkę, rozejrzała się dookoła. Trafiła do dość zatłoczonej już cukierni. Drewniane stoliki wzdłuż ścian były podgradzane od siebie. Środek sali zajmowały stare, kute żelazne krzesła i stoliki z marmurowymi blatami. Za barem Rachel zauważyła kolekcję nowoczesnych rzeźb w jaskrawych kolorach.

Mogło być gorzej, pomyślała. Dobrze, że nie trafiła do księgarni z książkami tylko dla dorosłych. Mimo to w taką pogodę nie miała ochoty poprawić sobie humoru porcją lodów.

Przez okno popatrzyła na ulicę. Zwykle o tej porze okolice Uniwersytetu tętniły życiem, ale teraz dostrzegła jedynie parę osób idących z trudem w ulewie. Jakiś mężczyzna, trzymający nad głową rozłożoną gazetę, podniósł wzrok przechodząc obok oświetlonej witryny. Przez moment Rachel wydawało się, że to siostrzeniec jej szefowej. Tylko nie Gerald, jęknęła w duchu, proszę, niech to nie będzie on!

Mężczyzna jednak najwyraźniej jej nie rozpoznał. Rachel odeszła od okna i zajęła miejsce przy jedynym wolnym stoliku.

Zaczynam zachowywać się absurdalnie, zganiła się. Gerald może być nudziarzem, ale nie jest głupcem i w końcu zorientuje się, że nie jest nim zainteresowana. Nie należy wpadać w panikę z jego powodu.

Musiała czekać parę minut, zanim zjawiała się kelnerka w cukierkowym, różowiułkim fartuszk. Rachel zamówiła filiżankę gorącej czekolady. Żałowała, że nie ma ręcznika do wytarcia mokrych od deszczu nóg.

Pomyślała, że powinna była zostać w biurze. Przynajmniej by nie zmokła, a przy okazji mogłaby przejrzeć część czekających na nią dokumentów.

Rodzina zajmująca sąsiedni stolik wstała. Ich miejsce zajęło dwóch młodych mężczyzn. Rachel wydawało się, że jednego skądś zna, ale nie zdążyła mu się przyjrzeć, bo kelnerka przyniosła właśnie zamówioną czekoladę. Przygnębiona, rozmieszała słodką piankę i wypła łyk.

Chyba zabierze się za swoje półki jeszcze dziś wieczór, jeśli tylko uda się jej dotrzeć jakoś do domu. Wyszlifuje je i w ten sposób będzie miała mniej pracy w sobotę. Inaczej może nie skończyć do siódmej, kiedy ma być u Garrettów.

Pemberton... Miłe miejsce, jeden z najstarszych i najelegantszych domów w mieście. Każdy, kto przyjeżdża do Lakemont, szybko dowiaduje się o Pemberton.

Nagle Rachel zdała sobie sprawę, iż tak pochłonęła ją rozmowa, że zapomniała spytać Annę o dokładny adres. Nie wyjaśniła również ostatecznie, że nie chce, żeby ktokolwiek po nią przyjeżdżał.

Muszę do niej zadzwonić, postanowiła, inaczej w sobotę wieczorem przyjedzie po mnie ten jej znajomy. A wtedy prawdopodobnie spędzę cały wieczór z kimś, kto zajmie się mną tylko po to, żeby wyświadczyć grzeczność gospodyni. To byłaby prawdziwa niedźwiedzia przysługa ze strony Anny i Rachel miałyby zepsuty cały wieczór. Jęknęła w duchu. Cała ta sprawa zaczynała wymykać się jej spod kontroli.

Jak Dawn to powiedziała? „Stanowisz wyzwanie” i „gdyby tobie samej na tym zależało...” To były właśnie jej słowa. Ale Rachel nie zależało na tym. Nie miała ochoty na żadne randki. Postanowiła sobie, że na zawsze pozostanie niezależna i nie będzie czasu, skoro może go wykorzystać w bardziej pożyteczny sposób. To prawda, że kiedyś myślała zupełnie, inaczej. Zdawało się jej, że znalazła mężczyznę swojego życia. Te czasy jednak już minęły.

Posmutniała. Bolesne wspomnienia wracały już rzadziej, ale było to chyba jeszcze gorsze. Czasem czuła, że zerwała z przeszłością, jednak ból zaczajony w zakątkach pamięci nie pozwalał na zapomnienie. Objęła filiżankę drżącymi dłońmi. Starła się skoncentrować uwagę na tym, co działo się wokół niej. Dziecko przy stoliku nie opodał siorbało wiśniową colę, kelnerka miała na nogach bardzo wysokie szpilki. Doleciały ją też strzępki rozmowy...

– Musisz zrobić coś ze swoją żoną – usłyszała głos jednego z młodych mężczyzn, siedzących obok. Był chyba trochę zdenerwowany, może zirytowany, w każdym razie jego ton zainteresował Rachel.

Szkoda, że nie piszę powieści kryminalnych, pomyślała. Chyba natknęłam się na jakiś spiszek!

– Kobiety w ciąży powinny zajmować się przede wszystkim sobą, Patrick – mówił dalej mężczyzna. – Zazwyczaj ich zachcianki ograniczają się do pikli i lodów...

Jego towarzysz przerwał mu.

– A jak myślisz, dlaczego zaproponowałem spotkanie tutaj? Mam przynieść do domu kilogram czekoladowych cukierków z migdałami.

– I różowo-białą tapetę – dodał pierwszy mężczyzna z ironią. – Ale tej kobiecie wydaje się, że jest biurem matrymonialnym z jednym klientem – mną.

Rachel przestała słuchać. Za dobrze znała takie problemy. Chociaż, pomyślała, powinna chyba poczuć się lepiej wiedząc, że i inni są w takiej sytuacji jak ona.

Dopiła czekoladę i zapłaciła rachunek. Ulewa nie zmniejszyła się. Deszcz wciąż bębnił o szyby cukierni, po ulicy płynęły potoki wody. Stała przy drzwiach, trzymając bezużyteczną parasolkę. Zastanawiała się, czy o tej porze uda się jej złapać taksówkę.

Była tak zajęta swoimi myślami, że nie zwróciła uwagi na innych klientów, którzy chcieli wyjść z cukierni, dopóki nie usłyszała za swoimi plecami głośniego „Przepraszam”. Natychmiast usunęła się z drogi, jakby ten ktoś kazał się jej stamtąd wynosić. Dopiero wówczas mężczyzna zwrócił na nią uwagę.

– Pani Todd, prawda? – spytał. Uprzytomniła sobie, że jest to głos jednego z mężczyzn, których rozmowę słyszała. To on skarżył się na niesforną żonę drugiego.

Zaskoczona, spojrzała na niego. Miał około trzydziestki i błękitne oczy o zadziwiająco długich, ciemnych rzęsach. Jego prawie czarne włosy aż prosiły się o fryzjera, ale sprawiały wrażenie jakby rozwianych wiatrem...

Nagle przypomniała sobie, skąd go zna.

– Pan jest pilotem Teda Lehmana – powiedziała. – Leciał pan z nami do Minneapolis w zeszłym tygodniu.

Nic dziwnego, że wcześniej go nie rozpoznała. Układ miejsc na pokładzie nie pozwalał na podziwianie profilu pilota, nawet gdyby miała taki zamiar. Ale nie mogła zapomnieć jego głosu objaśniającego zasady bezpieczeństwa i sposobu, w jaki pochylał głowę w niewielkiej kabinie. Także idealnie wykonany start i lądowanie zrobiły na niej wrażenie.

Uśmiechnął się lekko.

– Cóż, niezupełnie. Nie jestem własnością Teda. Czeka pani na kogoś?

– Nie. Rano było tak pięknie, że przyszedłam do pracy pieszo. A teraz...

– Czeka pani, aż przestanie padać? Mam nadzieję, że zaopatrzyła się pani w śpiwór. – Podciągnął zamek, skórzanej kurtki. – Tutaj, kiedy zacznie padać, może I to trwać przez parę dni.

– Ładnie mnie pan pociesza, panie...

– Mogę panią podwieźć do domu, jeśli pani chce.

Jego towarzysz odszedł od kasy i zbliżył się do nich, trzymając w dłoniach papierową torbę. Obydwaj mieli ten sam typ urody, ale mężczyzna z pakunkiem był nieco niższy. I chyba o parę lat starszy. A może to tylko klasyczny krój jego ubrania i obcięte włosy sprawiały takie wrażenie? Ukłonił się Rachel i, zapinając płaszcz, zwrócił się do pilota:

– Nie zawracałbym sobie już głowy Camryn.

– Powiesz jej, żeby przestała się zajmować nie I swoimi sprawami? – Rachel dostrzegła nadzieję i w oczach młodszego mężczyzny.

Ten drugi uśmiechnął się do Rachel.

– Niezupełnie. Przekażę jej, że nieźle sam sobie radzisz – odparł wesoło i wyszedł.

Rachel zdziwiła się, widząc zmieszanie młodszego pilota. Nie powinien czuć się speszony z mojego powodu, pomyślała. A może obawiał się, że potraktuję słowa jego znajomego jako zachętę?

– Przyjaciele bawią się w swatów? – spytała bez ogródek.

– Rodzina – westchnął. – A mówiąc dokładnie, bratowe. Mam ich trzy i doprowadzają mnie do obłędu.

– Znam to uczucie. – Więc to był jego brat. Nic dziwnego, że są tacy podobni do siebie.

– Pani też? – Był wyraźnie zainteresowany. Rachel przytaknęła.

– Ludzie uważają, że jeśli kobieta nie ma ochoty na randki, to coś z nią jest nie tak. Z przyjemnością skorzystam z pańskiej propozycji, o ile jest jeszcze aktualna. Jeśli nie, to są tu chyba taksówki?

– Niewiele. Mogłaby pani czekać godzinami. Chodźmy, mój samochód stoi po drugiej stronie ulicy.

Pojazd, który jej wskazał, nie był jeszcze zabytkiem, ale mało już mu brakowało do tego miana. Rachel wsiadła do środka z mieszanymi uczuciami. Wewnątrz był jednak wyjątkowo czysty, a równa praca silnika rozproszyła jej obawy. Poza tym pilot samolotu z pewnością mógłby prowadzić samochód nawet jedną ręką, uspokajała się.

– To wywołuje najgorsze instynkty u ludzi, prawda?

– Słucham?

– Swatanie.

– Ach tak, ma pan rację. Czasem z kamienną twarzą proponują ci kogoś takiego, że... – Zamyśliła się na chwilę, po czym powiedziała jakby do siebie: – Dziś ktoś dał mi pewną radę. Ciekawe, czy to prawda.

– Co to za rada?

– Przyjaciółka powiedziała mi, że gdybym z tym tak nie walczyła, to ludzie daliby mi spokój.

– Co to znaczy? Rachel westchnęła.

– Że powinnam się poddać.

– To znaczy chodzić na randki, żeby ci dano spokój? To bez sensu. Dokąd jedziemy?

– Prosto, ulicą Waukegan. Czy może pan powtórzyć to, co przed chwilą pan powiedział o randkach? Bo chyba ma pan rację. Jeślibym się z kimś spotykała, wszyscy tak zwani życzliwi trzymaliby się ode mnie z daleka, prawda?

– Czy to właśnie powiedziałem?

– A ja nie musiałabym się z nikim spotykać dopóty, dopóki by w to wierzyli. Jestem pewna, że to właśnie chciała mi powiedzieć.

– A nie sądzi pani, że trudno będzie znaleźć takiego tajemniczego kochanka?

– Też mi się tak wydaje. – Rachel zagryzła dolną wargę. – Musiałby to być ktoś, kto naprawdę rozumie...

– Ma pani na myśli kogoś w podobnej sytuacji, prawda? Moja droga, jeśli mówi pani o mnie... Zaskoczona Rachel potrząsnęła głową.

– Nie, ale skoro podsunął mi pan ten pomysł...

– Jest to nieco ryzykowne, mógłbym być gwałtciелеm, mordercą... – Spojrzał na nią. – Nie zna mnie pani.

– Jeśli byłby pan taki, to pańskie bratowe nie starałyby się znaleźć panu dziewczyny. To

tutaj – wskazała mały domek.

Podjechał pod same drzwi i nie wyłączając silnika przyglądał się Rachel przez chwilę. Stwierdził w duchu, że logiczne myślenie nie jest jej mocną stroną.

Rachel poczuła się zażenowana. Jak mogła zrobić z siebie taką idiotkę?

– Zapomnijmy o tym, to głupi pomysł. – Przez moment mocowała się z drzwiami. Chciała uciec z samochodu. Zniecierpliwiona pomogła sobie nogą.

– Dzięki za podwiezienie.

– Była już na werandzie, kiedy usłyszała, że zgasł silnik. Odwróciła się i ujrzała, że mężczyzna wysiada z samochodu. I co teraz? Co' zrobi, jeśli będzie chciał wejść za nią do domu? Może faktycznie ma wobec niej złe zamiary...

Ale on po prostu, nie zważając na ulewę, stał oparty o auto.

– Zgadzasz się! – zawołał. – To najdziwniejszy pomysł, z jakim się spotkałem, ale może się uda. W porządku, będziemy się spotykać. Sobota wieczorem odpowiada ci?

– Pewnie, czemu nie... – wykrztusiła z siebie. – Hmm... Przepraszam, ale czuję się zakłopotana, bo nie pamiętam twojego imienia.

Nawet z tej odległości dostrzegła jego uśmiech.

– Niech to będzie dla ciebie zagadką – odparł i wsiadł do samochodu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Rachel nie mogła trafić kluczem do dziurki zamka. Zza drzwi dochodziły przeraźliwe wrzaski jej syjamskiego kota.

– Bandyto, poczekaj chwilę, już wchodzę, okay? Strasznie mi przykro, że się spóźniłam, ale to naprawdę nie moja wina, kochanie. To wszystko przez ten obrzydliwy deszcz.

W momencie kiedy weszła do środka, wrzask zamienił się w żałosne zawodzenie. Było ciemno i Rachel potrzebowała chwili na zlokalizowanie miejsca, skąd dochodziło, bo jeden rozwścieczony syjamczyk wył jak stado innych kotów. Kiedy jej wzrok przyzwyczał się do mroku, dostrzegła kulę płowego futra na kanapie. Obrażony kocur siedział dumnie i patrzył na nią oskarżycielsko. Łaskawie jednak pozwolił podrapać się w szyję.

– Jeśli jesteś głodny, to tylko twoja wina, Bandyto – powiedziała, przesuując dłonią po jego jedwabistym futrze. – Twoją miskę zostawiłam rano pełną.

Kot uniósł do góry głowę, jakby chciał powiedzieć, że sucha karma nie zasługuje na miano jedzenia. Jednak kiedy jego pani ruszyła w stronę kuchni, porzucił wyniosłą pozę i zgrabnie zeskoczył z kanapy.

Nie musiała nawet zapalać lampy, bo jaskrawe światło ulicznej latarni bez trudu przebijało przez firanki. Z szafki wyjęła puszkę jedzenia dla kotów i wyłożyła jej zawartość do miski Bandyty. Sobie nalała szklankę soku grejpfrutowego i oparta o lodówkę zaczęła rozmyślać o historii, w jaką się właśnie władowała. Też sobie znalazłam sposób na rozwiązanie problemu, pokręciła głową. Rachel Todd, jesteś idiotką. Dopiero teraz napytałaś sobie biedy. Jak w ogóle coś takiego mogło jej przyjść do głowy? Związać się z facetem, którego nawet nie zna. Musiała ulec chwilowemu zaćmieniu umysłu. Tak, to wyjaśnia całą sprawę. A teraz zadzwoni do niego i wszystko wyjaśni... O rany! Przecież nawet nie pamięta jego imienia!

Nie polepszyło jej humoru przypuszczenie, że on też może zapomnieć, jak ona się nazywa. Ale jeśli nawet tak się stanie, to i tak wie o niej sporo. Dotarcie do reszty informacji nie będzie dla niego trudne. Jej natomiast niezręcznie byłoby wypytywać pracownice z biura o tego przystojnego pilota i ignorować ich spojrzenia, kiedy parę dni później zahaczyłyby ich razem.

Może się pocieszyć, że koleżanki nie zarzucą jej złego gustu, jeśli spotkają ją w towarzystwie młodego pilota. Nie da się ukryć, że jest niesamowicie przystojny, ma rozbijający uśmiech, spojrzenie pełne wyrazu i przy tym błyskotliwy umysł.

No i co z tego? Przywołała się do porządku. Nawet jeśli zdecyduje się ciągnąć tę farsę, jego przystojna twarz nie gra tu żadnej roli. Można się z nim pokazać, reszta się nie liczy.

Złapała się na tym, że zastanawia się, co zaplanował na sobotę. Ciekawe, jakie rozrywki lubi? Kino, koncert, a może mecz bokserski? Ciarki ją przeszły na samą myśl o boksie. Nagle przypomniała sobie o kolacji u Annę Garrett. Zupełnie wyleciało jej to z głowy, zresztą razem ze zdrowym rozsądkiem, pomyślała ze złością. Cóż, powie po prostu swojemu nowemu przyjacielowi, że musi pójść na przyjęcie. Dzięki temu łatwiej jej będzie odkręcić całą

sprawę. Chyba że weźmie go ze sobą... Nie, to śmieszne.

Ale z drugiej strony, dlaczego nie? Annę zachęcała ją, żeby przyszła w towarzystwie, a skoro ten pilot widywał się często z rektorem i zarządem Nicolet, to chyba nauczył się cywilizowanego zachowania. Nadarza się jej wspaniała okazja, żeby uciąć plotki i domysły. Przecież w końcu chodzi jej o to, żeby wszyscy uwierzyli, że się z kimś spotyka.

Oparła się łokciami o blat stołu i ukryła głowę w dłoniach. Żeby zaprosić gdziekolwiek tego mężczyznę, musi najpierw dowiedzieć się, kto to jest.

Następnego dnia rano Rachel nie weszła jeszcze do biura, a już czuła na sobie zainteresowane spojrzenia współpracowników. A może tylko tak się jej wydawało?

To tylko moja bujna wyobraźnia, przekonywała samą siebie. Nikt z nich nie może przecież wiedzieć, co wydarzyło się ubiegłego wieczoru.

– Pozwoliłam mu to zostawić na biurku, Rachel. – Jej sekretarka powitała ją z uśmiechem mówiącym „wiem wszystko, kochanie”. – Ale nie martw się, pilnowałam, żeby niczego nie ruszył.

Rachel ze zgrozą przymknęła oczy. Nic dziwnego, że tak na nią patrzyli. I co on tu przyniósł? Na dodatek nie mogła przecież po prostu spytać sekretarkę, od kogo to pochodzi!

– Dziękuję, Amy – wykrztusiła z siebie i z determinacją otworzyła drzwi do swojego biura.

Na biurku leżała długa, żółta róża i nowa składana parasolka. Rachel odetchnęła z ulgą. Dostrzegła kremową karteczkę, która wyglądała na wizytówkę. Chwyciła ją natychmiast.

Jednak, ku jej rozczarowaniu, był to jeden z jej własnych biletów wizytowych, najwyraźniej wyciągnięty z pudełka obok. A miał niczego nie ruszać. Była wściekła. Na odwrocie znalazła wiadomość, napisaną drobnym, ale czytelnym charakterem pisma:

Najdroższa Rachel, mam nadzieję, że nie pogniewasz się, jeśli zachowam tę drugą parasolkę jako wspomnienie pewnego wyjątkowego wieczoru. Zresztą, różowy kolor do ciebie nie pasuje.

Przekląła. Zupełnie zapomniała o parasolce; musiała zostawić ją w samochodzie. Ale czy naprawdę uważał, że obchodziły ją takie stare rupiecie?

Liścik kończył niesamowity bazgroł, który w zamyśle autora miał służyć jako podpis. Rachel wyobraziła sobie, z jaką złośliwą satysfakcją go składał. Obracała kartkę we wszystkich kierunkach, jednak nie była w stanie odcyfrować imienia czy też inicjałów pilota. Hmm... To wygląda jak A i N.

Anthony Newton, przyszło jej do głowy. Jednak to nazwisko nic jej nie mówiło. Adam Nichols. Alex Novak. Pamiętała, że podczas lotu Ted Lehmann wymienił nazwisko pilota, ale nie było ono wtedy dla niej takie ważne, żeby je zapamiętała.

Podniosła słuchawkę i wykręciła numer rektora. Po chwili sekretarka Lehmann odebrała telefon i spytała, w czym może jej pomóc.

– Chciałabym skontaktować się z naszym pilotem z Nicolet.

– Nie mamy stałego pilota. Zawsze korzystamy z usług Lakemont Aviation. Podać pani

ich numer?

– To znaczy wynajmujemy od nich samolot? Tak. Kiedyś mieliśmy własny i zatrudnialiśmy pilota, ale okazało się, że tak jest wygodniej. Proszę po prostu zadzwonić na lotnisko, a oni przekażą pilotowi, żeby się z panią skontaktował.

– Chwileczkę – przerwała jej Rachel. – Ten człowiek, który leciał z Tedem Lehmannem do Minneapolis w zeszłym tygodniu, jak on się nazywa?

– Nie pamiętam, ale to chyba był Colin. On jest właścicielem i pan Lehmann lubi latać z nim, jeśli jest akurat wolny.

Rachel sięgnęła po wizytówkę. Jeśli to jest duże C, to ja jestem królewną z bajki, pomyślała.

– A jak brzmi jego nazwisko?

– McKenna. Jednak jeśli potrzebuje pani właśnie jego, to obawiam się, że ma pani pecha. Dzisiaj rano wyleciał z rektorem do Chicago.

A więc Colin McKenna. Można przyjąć, że bazgroł na wizytówce oznacza właśnie jego inicjały. Jednak w dalszym ciągu to nazwisko nic jej nie mówiło.

– Pani Todd, czy to już wszystko?

– Tak, tak... Dziękuję, bardzo mi pani pomogła.

Następnie Rachel zadzwoniła do Lakemont Aviation i zostawiła wiadomość dla Colina McKenny, żeby zadzwonił do niej do biura. Na razie nic więcej nie mogła zrobić.

A co będzie, jeśli okaże się, że to nie o tego pilota chodzi? Wtedy będzie musiała zmyślić jakąś historyjkę o pomyleniu go z kimś o podobnym nazwisku i zacząć poszukiwania od nowa. Czuła, jak głowa pęka jej z bólu.

Po pracy spotkała Dawn Morgan. Spędziły godzinę myszkując w butikach naprzeciwko Uniwersytetu.

– Podwiozę cię do domu – zaproponowała Dawn, kiedy wyszły z ostatniego sklepu. – Jestem ciekawa, gdzie chcesz zawiesić te półki.

Kiedy podjechały pod dom Rachel na ulicę Waukegan, zobaczyły stojący na podjeździe samochód. Stary samochód, który Rachel miała okazję już poznać. Czuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Przecież miał być w Chicago, pomyślała. Prosiła o telefon, ale nie oddzwonił. Wolał tu przyjechać, czy też Colin McKenna był kimś innym?

– Czy pogniewasz się na mnie, jeśli cię nie zaproszę do środka? Przepraszam, ale to chyba nie jest najlepsza chwila.

– Wydaje mi się, że masz coś ciekawszego na oku. – Dawn popatrzyła na stojące auto i dodała z lekką ironią. – Albo raczej kogoś.

– Nie jest tak, jak myślisz, naprawdę.

W tym momencie usłyszała stukanie w boczną szybę. Odkręciła ją i ujrzała twarz o błękitnych oczach.

– Cześć – powiedział i pochylając się do środka samochodu delikatnie musnął ustami jej wargi.

Rachel zawirowało w głowie. Mężczyzna uśmiechnął się lekko i spojrzał na Dawn.

– Cześć. Miło cię poznać.

– Ty jesteś Katastrofalny Colin. – Oczy Dawn przypominały wielkością spodki.

– Tak, nazywano mnie tak. – Skrzywił się lekko.

– Ale wołę, gdy ludzie zwracają się do mnie tylko Colin. A ty jesteś Dawn... Morgan, prawda? – Otworzył drzwi i podał Rachel rękę. – Dziękuję, że ją odwiozłaś.

Rachel już miała gwałtownie zaprotestować, ale ścisnął jej nadgarstek tak mocno, że nieomal krzyknęła.

– Drobiazg – odpowiedziała Dawn. – Do jutra, Rachel.

No ładnie, czeka mnie opowiadanie jej tej całej historii, jęknęła w duchu Rachel. Dobrze, że ma chociaż czas, żeby wszystko przemyśleć. Winna jest Colinowi podziękowania. Mimo to on robi z tego za wielkie ceregiele.

– Czy wykupiłaś cały towar z tutejszych sklepów? – spytał, biorąc od niej torby. – Wąży chyba z tonę.

– A co ciebie obchodzi, co kupuję? – Sięgnęła do torebki po klucz. – Właśnie myślałam o zaletach twojej nieobecności w mieście, kiedy się zjawiłeś – powiedziała chłodno.

– Dzwoniłem, ale wyszłaś już z biura – uśmiechnął się z przekąsem. – Nie myślałem, że skontaktowanie się ze mną zajmie ci aż tyle czasu. W centrali powiedzieli, że zadzwoniłaś dopiero po dziesiątej.

– Mogłeś mi powiedzieć, że prowadzisz własny interes. Nawet kiedy podano mi nazwisko pilota Teda, nie byłam pewna, czy to ty. – Rachel otworzyła drzwi. Bandyta był dzisiaj w lepszym nastroju, bo zostawiła mu włączony telewizor. Podniósł się z jej ulubionego bujanego fotela, ziewnął, przeciągnął się i spojrzał na gościa.

– To by zepsuło całą zabawę, nie sądzisz?

Rachel powiesiła ich płaszcze w małej szafie w przedpokoju. Kiedy wróciła, Colin stał na środku pokoju i rozglądał się.

Dom był naprawdę mały, ale w sam raz na jej potrzeby. Składał się z salonu, sypialni, kuchni i łazienki. W tym pokoju meble rozmieszczone były w rogach, aby sprawić wrażenie, że wszystko koncentruje się wokół kominka. Na ścianach wisiało kilka obrazów. Nowe półki, wyszlifowane, stały z boku przygotowane do zawieszenia. Kiedy już się z tym upora, rozpakuje kartony z książkami i ukochanymi figurkami i to miejsce stanie się prawdziwym domem.

Colin odwrócił się. W jego ramionach leżał kot. Niebieskie oczy Bandyty były przymknięte, a mordka wyrażała pełne zadowolenie. Wyglądał na w pełni szczęśliwe stworzenie. Rachel była zdumiona tym widokiem. Nigdy dotychczas jej kot nie zaakceptował tak szybko obcej osoby. Co takiego było w tym mężczyźnie, że wszyscy natychmiast ulegali jego urokowi?

– Myślę, że powinniśmy porozmawiać – odezwała się. – Napijesz się kawy?

Colin poszedł za nią do kuchni. Bandyta ulokował się na blacie szafki i zaczął się domagać kolacji. Rachel napełniła mu miskę i zestawiła kota na podłogę. Włączyła ekspres do kawy i usiadła przy stole. Colin milczał. Zdenerwowało ją to trochę.

– Czy Ted Lehmann wie o twoim przezwisku? – spytała.

– Wątpię. I żeby od razu rozwiać twoje przypuszczenia – nigdy nie spowodowałem

żadnego wypadku.

– Więc skąd to określenie? – Spojrzała na niego z niedowierzaniem. – I kto ci je nadał?

– To z powodu mojego pierwszego lądowania.

– Chwileczkę, powiedziałaś, że to nie ma nic wspólnego z samolotem.

– To prawda – zaczął wyjaśniać. – Nie leciałem wtedy. Prowadziłem samochód rodziców i wyobrażałem sobie idealne lądowanie. Słyszałaś na pewno o tym, że kiedy wyobrażasz sobie, że robisz coś bardzo dobrze, to twoje faktyczne umiejętności się polepszają, prawda?

– Tak – przytaknęła mu. – Tylko nie jestem pewna, czy chcę usłyszeć, co stało się dalej.

– W momencie kiedy podchodziłem do lądowania, zrobiłem dokładnie to, co powinienem. Różnica polegała na tym, że trzymałem w rękach kierownicę, a nie drążek sterowniczy. I uderzyłem w drzewo.

– Ile miałeś wtedy lat?

– Siedemnaście.

– I twoi rodzice pozwolili ci po czymś takim latać? – Popatrzyła na niego zdumiona.

– Oczywiście. Zabronili mi tylko prowadzić. Moi bracia nazywali mnie Katastrofalnym Colinem tak długo, dopóki nie zastosowałem silniejszych argumentów. – Oparł łokcie o stół i zaproponował ciepłym głosem: – Wiesz, Rachel, to dobry pomysł, żeby się lepiej poznać. Teraz ty opowiedz mi o sobie. Czy masz równie interesujące przezwisko?

– Wcale nie chodziło mi o poznanie się. – Potrząsnęła głową.

– A więc o co?

– Colin, przestało mi się to wszystko podobać. Zapomnijmy o tym, dobrze?

W tym momencie ekspres głośnym sykiem oznajmił, że kawa gotowa.

– Gdzie masz kubki? – spytał Colin podnosząc się.

– U góry w szafce.

Po chwili podał jej parujący kubek.

– A co z twoją przyjaciółką, panią Morgan? Chyba podziałało to na nią.

– Jeśli będę mieć szczęście, pomyśli, że się jej przywidziało – westchnęła Rachel.

– Ależ to przecież genialny plan. Żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie potrafiłaby obmyślić takiego planu.

– Dzięki.

– Nie mówię o tobie. – Uśmiechnął się. – Słuchaj, jadłaś coś? Porozmawiajmy o tym przy kolacji. Co powiesz na tę małą chińską knajpkę przy Uniwersytecie?

– Myślę, że nie powinniśmy pokazywać się razem. Ludzie zaczną snuć domysły podobnie jak Dawn, a skoro mamy zrezygnować...

– Okay, widzę, że nie należysz do wytrwałych. Ale to naprawdę ma sens. Poza tym musiał być jakiś powód, dla którego to wymyśliłaś. Gdyby wszystko było w porządku, nic takiego nie przyszłoby ci do głowy.

Rachel chciała zignorować tę uwagę, ale Colin patrzył na nią wyczekująco. W końcu złamała się.

– Święto Jesieni. Znajomi uparli się, że muszę mieć z kim pójść, niezależnie ile wysiłku będzie ich kosztowało przekonanie mnie do tego.

– No więc teraz jest już po sprawie. Co masz do stracenia? Sama powiedziałaś, że wyglądam na porządnego faceta. A poza tym jesteś mi coś winna.

– Co? – Nie miała pojęcia, o czym mówi.

– Przekonanie pewnej osoby, że i ja nie potrzebuję pomocy. Załatwiłem sprawę z Dawn, więc teraz twoja kolej.

– Masz na myśli swoją bratową?

– Bingo! W ten sposób wyrównamy rachunki.

– Ale z nią nie pójdzie tak łatwo.

– Niestety. Dlatego uważam, że powinniśmy trzymać się pierwotnego planu.

– Domyślam się, że jeśli się nie zgodzę, to opowiesz Dawn całą prawdę? – Napila się kawy. – Wcale nie chciałam, żeby pomyślała, że łączy nas coś więcej...

– Nie, tego bym nie zrobił. Porządni faceci nie uciekają się do szantażu. Ale czego się boisz, Rachel? Przecież to był w końcu twój pomysł, pamiętasz? Jeśli zrezygnujesz, wciąż będą zawracać ci głowę umawiając na randki.

Miał rację, dlaczego więc była zdenerwowana? Przecież nie wiąże się z nim na poważnie. I reakcja Dawn... To będzie takie proste, bo kto spodziewałby się po nich takiego oszustwa?

– Zgadzam się z tobą – odpowiedziała.

– Nie wiem tylko, czemu to cię tak dziwi. Umowa stoi? – Wyciągnął do niej dłoń.

– Do zakończenia Święta Jesieni. – Ucisnęła mb rękę.

– To już za dwa tygodnie. Obawiam się, że moja bratowa potrzebuje więcej czasu, żeby uwierzyć.

– Czyli? – spytała podejrzliwie Rachel.

– Co myślisz o Święcie Dziękczynienia?

– To całe sześć tygodni!

– Spokojnie, to przecież nie wyrok dożywocia. A właściwie, lepiej byłoby pociągnąć to aż do Bożego Narodzenia.

– Chyba sobie żartujesz!

– Nie? Cóż, może uda mi się wyjaśnić, że pojechałaś odwiedzić rodzinę, lub coś w tym rodzaju.

– Dobrze – oświadczyła po chwili namysłu. – Do Święta Dziękczynienia.

– Okay. Jeśli wszystko się powiedzie, będę miał spokój co najmniej do wiosny. – Wydawał się bardzo zadowolony z siebie. – Teraz chodźmy coś zjeść. A w sobotę wieczorem...

– W sobotę wieczorem idziesz ze mną na przyjęcie. Zauważyła, że się skrzywił.

– A co planowałeś? Przepraszam, ale zapomniałam, że przyjełam to zaproszenie. Może to faktycznie nie jest rozrywka dla ciebie – zreflektowała się. – Wydaje je jeden z bogatych sponsorów Nicolet. Colin, jeśli naprawdę nie masz ochoty iść...

– Pójdę – westchnął ciężko. – I tak odrzuciłem już świetną propozycję na sobotę z powodu randki z tobą, a więc czemu nie przyjęcie. Kto wie? – Uśmiechnął się jak mały chłopiec. – Niektóre z tych wykrochmalonych koszul okazują się całkiem zabawne, jeśli wiesz, jak je podejść.

Nie, pomyślała ze zgrozą Rachel, nie ośmieliłby się.

Wzięli płaszcze i poszli do samochodu. Rachel podejrzewała, że znajdzie tam zepsutą parasolkę, ale nie było jej. Spytała Colina, czy ją wyrzucił.

– Chyba nie mówisz poważnie? – Był zaskoczony. – Przecież to pamiątka.

– Nie ma sensu udawać, że łączy nas coś więcej, niż jest w rzeczywistości. A już na pewno nie wtedy, kiedy jesteśmy sami.

– Co masz na myśli? – Włączył silnik i spojrzał na nią.

– Że będziemy wobec siebie szczerzy. Na przykład, nie mam zamiaru udawać, że lubię chińskie jedzenie. Nienawidzę go.

– A ja je uwielbiam – powiedział smutno.

– Masz prawo. – Wzruszyła ramionami. – Jednak wciąż nie widzę powodu, żebym miała jeść to świństwo.

– Mogę się założyć, że gdyby to była prawdziwa randka, to zjadłabyś się tym, i to z uśmiechem.

– Możliwe – przyznała się. – I chociażby właśnie dlatego cieszę się, że to nie jest prawdziwa randka.

– Co jeszcze chcesz mi powiedzieć? – Był wyraźnie rozbawiony.

– Nie zamierzam ci się zwierzać, chcę tylko postawić sprawę jasno. A co powiesz na kuchnię meksykańską?

– Za ostrą. Może raczej ryby, owoce morza?

– Dobrze. Widzisz, zawsze można się dogadać.

– A więc to temu zawdzięczasz swoje oszałamiające sukcesy z mężczyznami?

– Podaruj sobie te złośliwości, Colin. To moja sprawa, dlaczego nie mam ochoty na randki.

Resztę drogi przejechali w milczeniu. Odezwał się wtedy dopiero, gdy wysiedli z samochodu przed restauracją.

– Wiesz, jedno mnie zastanawia. Mogę zrozumieć, że nie odpowiadają ci mężczyźni, których wybierają ci znajomi. Ale żeby od razu odrzucać wszystkich...

– Niech to pozostanie dla ciebie zagadką – odparła cierpko. – A poza tym jesteś w identycznej sytuacji.

– Wcale nie – zaprzeczył gwałtownie. – Nigdy nie mówiłem, że nie lubię randek. Tylko że zostałem jedynym kawalerem w rodzinie i od ostatniego wesela nie mam ani chwili spokoju.

Uśmiechnięty kelner wskazał im stolik w rogu sali, idealny na intymną rozmowę dwojga zakochanych.

Dla Rachel był to dobry znak. Wyglądają na parę, więc uda im się zmylić kogo trzeba.

– Więc ile w końcu masz bratowych? – spytała, czytając menu.

– Trzy. Na szczęście tylko jedna z nich mieszka w Lakemont.

– To ta, na którą skarżyłeś się wczoraj?

– Tak, ale pozostałe przyjadą tu na Święto Dziękczynienia. To ważne święto w naszej rodzinie. Już sobie wyobrażam to załamywanie rąk nad biednym Colinem, który ma już

trzydzieści lat i wciąż jest kawalerem.

– Nie możesz powiedzieć im, żeby pilnowały swojego nosa?

– Robiłem to, ale bez skutku. Tak samo jak w przypadku twoich przyjaciół.

– Dobrze spostrzeżenie. Ja wezmę homara. Płacimy każdy za siebie czy na zmianę? – spytała, odkładając menu.

– Na zmianę, bo ktoś mógłby zauważyć. Rachel uniosła kieliszek z winem i spojrzała dziwnie na wodę mineralną Colina.

– Czy nie przeszkadza ci, że piję wino?

– Nie, ale jeśli by tak było?

– Więcej bym już go nie zamawiała.

– Uważaj, to brzmi, jakbyś chciała się mi przypodobać.

– Nawet o tym nie myśl.

– Więc nie ma sprawy. A ja po prostu z reguły nie piję, bo nigdy nie wiem, czy nie wezwą mnie na lotnisko. Ale nie zabraniam tego nikomu.

– Jak to się stało, że zacząłeś latać?

– Nie mam pojęcia. – Wzruszył ramionami. – Zawsze tego chciałem. Ojciec mówi, że zorientował się, kiedy kupił mi pierwszy balon, a ja go wypuściłem. Nie rozpląkałem się, jak inne dzieci, ale stałem i spoglądałem w niebo. Pamiętam mój pierwszy lot. Długie miesiące zbierałem kieszonkowe, żeby móc zapłacić za piętnaście minut wycieczki jednosilnikowym samolotem nad Lakemont. Inni pasażerowie oglądali swoje domy, a ja patrzyłem tylko na urządzenia, które obsługiwał pilot.

Kolacja upłynęła Rachel na przysłuchiwaniu się interesującym historyjkom Colina. Kiedy kelnerka przyniosła im rachunek, dziewczyna ze zdumieniem spojrzała na zegarek. Czas tak szybko płynął na rozmowie!

– Panie nie zawsze mają pierwszeństwo – powiedział Colin widząc, że Rachel sięga po swoją kartę kredytową. Zaprotestowała, bo większą część rachunku stanowił jej homar. – Daj spokój, nie stwarzaj niepotrzebnych problemów.

– Dziękuję, ja płacę następnym razem.

– Zabiorę cię na najlepsze steki w mieście. Znasz Lakemont Grand?

– Nie.

– W takim razie pójdziemy tam. W następną sobotę, zgoda?

– A może najpierw przekonamy się, jak minie nam ten weekend?

Odprawiając ją do drzwi, Colin zwrócił się do Rachel z propozycją.

– Może przeprowadzilibyśmy małą próbę?

– Próbę czego? – spytała ostrożnie.

– Parę całusów na dobranoc. Nie możemy przecież wyjść na amatorów.

– Nikt nas nie będzie oceniał!

– Zgoda, ale w mojej rodzinie wszyscy jesteśmy dla siebie bardzo serdeczni, więc jeśli mamy ich przekonać...

– Dawn połknęła haczyk i bez twoich prób. Dobranoc, Colin. Dziękuję ci za kolację i wspaniałą wieczór.

- Jesteś oszustką, Rachel.
- Co masz na myśli?
- Powiedziałaś, że nie uciekniesz się do drobnych kłamstw, żeby zrobić na mnie wrażenie
- przypomniał. Dotknął dłonią jej policzka. – Do zobaczenia w sobotę.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy po raz piąty tego dnia zadzwonił dzwonek do drzwi, Rachel była w środku roboty. W jednej ręce trzymała wiertarkę, w drugiej metalowy pręt, który miał być podpórką pod półki. Postanowiła nie reagować. Poprzednio trzy razy dzwoniły dzieci z sąsiedztwa, które sprzedając cukierki zbierały pieniądze dla „swojej szkoły”. Czwartym gościem była Dawn ciekawa nowej sytuacji. Ktokolwiek tam jest, niech sobie dzwoni, pomyślała wymierzając miejsce na następny otwór dla śruby.

Jednak komuś najwyraźniej bardzo zależało, żeby otworzyła.

Rachel spojrzała w stronę okna w przedpokoju. Sylwetka natręta nie przypominała znajomych przedsiębiorczych maluchów. Ani Dawn, ani inna z jej koleżanek nie miała też tak szerokich ramion. Wiedziała już, kto to jest. Odłożyła narzędzia i podeszła, żeby mu otworzyć.

– Jest sobotnie południe, jak byś nie wiedział. Przyjęcie zacznie się dopiero za jakieś sześć godzin. Na razie...

– Zaczęłaś się już przygotowywać? – spytał Colin. – Twój nowy kolor włosów jest naprawdę ciekawy, ale wolę, jak są rude.

Odruchowo sięgnęła ręką i zorientowała się, że głowę ma grubo posypaną białym pyłem. Musi wyglądać jak siwiejąca babcia.

– Moje włosy nie są rude – odpowiedziała.

– Przepraszam. Właściwie, to wpadłem, bo nie powiedziałaś mi, o której godzinie i gdzie jest to przyjęcie, i w co mam się ubrać.

– O siódmej, Pemberton Lane dwanaście. Obowiązuje strój wieczorowy, którego, jak się domyślam, nie posiadasz. – Westchnęła. – Cóż, musisz jednak skądś go wziąć, bo powiedziałam już gospodyni, że przyjdę w towarzystwie, więc nie możesz się teraz wycofać – wyrzuciła z siebie jednym tchem i wróciła do swoich narzędzi.

– Miło, że poświęcasz mi tyle uwagi.

– Czy ja muszę myśleć o wszystkim? – spytała. Wiedziała, że jego uwaga była prawdziwa, więc powstrzymywała zdenerwowanie.

– Najwyraźniej tak. – Podeszedł do niej i zaznaczył na ścianie miejsce, w którym chciała wywiercić otwór na uchwyt.

– Dzięki. – Odłożyła poziomicę i wzięła do ręki wiertarkę. – Wypożycz smoking na mój koszt.

– To miło z twojej strony. Pomóc ci?

– Poradzę sobie. Pierwszy uchwyt dobrze zamocowałam, prawda?

Nie odpowiedział. Zerknęła na niego. Wydawało się jej, iż Colin ma co do tego wątpliwości. Może uważał, że powiesi półki nie upewniając się, czy będą się mocno trzymały?

– Poczęstuj się czekoladowym batonem – zaproponowała. – A jeśli masz ochotę na kawę, to wiesz, gdzie co jest.

Nie wyszedł jednak do kuchni. Wziął batonik i usiadł okrakiem na krześle. Oparł jedną rękę na oparciu i przyglądał się jej jedząc. Kiedy zamocowała uchwyt, zmiął pusty papierek i wrzucił do stojącego obok kosza.

– Kto nauczył cię robić takie rzeczy?

– Kiedy czegoś potrzebujesz, a obok nie ma nikogo, po prostu się uczysz. – Wzruszyła ramionami. Otrzeпаła dłonie, wzięła jedną z półek i wsunęła ją na swoje miejsce. – Dawn była tu dziś. Miała mnóstwo pytań. Jedna z jej asystentek widziała nas w restauracji i nie omieszkała jej powiedzieć, że wyglądaliśmy wprost słodko.

– Słodko?

– Powtarzam ci tylko słowa Dawn. Nie mam pojęcia, skąd to spostrzeżenie.

– Świadkowie są zawsze tam, gdzie się ich najmniej spodziewasz.

– Całe szczęście, że to ty zapłaciłeś rachunek. Nie mogę zrozumieć, dlaczego społeczeństwo nie lubi kobiet, które same za siebie płacą? Przecież to zupełnie normalne.

Colin nie skomentował tej uwagi. Spojrzał tylko na nią zamyślony. Odezwał się dopiero po chwili.

– Rachel, co ty masz przeciwko mężczyznom? – Nic, ja tylko... – Nie spodziewała się takiego pytania.

– A może chodzi o jakiegoś konkretnego faceta? Zachowujesz się jak osoba, którą ktoś głęboko zranił. Nie wiem tylko, w jaki sposób.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparła, dalej zajęta półkami.

– Wiesz, wiesz, tylko uciekasz od tego tematu. Co on ci takiego zrobił? Zmusił do zjedzenia chińskiej potrawy?

– Coś w tym rodzaju – roześmiała się Rachel.

– No, zrobiliśmy w końcu mały kroczek. – Colin był najzupełniej poważny. – Przynajmniej przyznałaś, że był jakiś mężczyzna.

Rachel zadrżała. Kiedy się jej to wyrwało?

– Mówiłaś, jak to jest nie mieć nikogo obok siebie. Co przez to rozumiesz?

– Colin, proszę, daj mi spokój. To nieważne – próbowała go przekonać, ale on czekał na odpowiedź. Westchnęła. – Chodzi o to, że nie mam rodziny. Rodzice rozwiedli się, gdy byłam mała, a matka zmarła parę lat temu. Możesz narzekać, że rodzina wtrąca się w twoje sprawy, ale ja uważam, iż to wspaniale mieć braci.

Przez chwilę milczał, a ona czekała na następne pytanie. Kiedy się w końcu odezwał, uspokoiła się widząc, że zmienił temat.

– Szybko zmienisz zdanie, kiedy przekonasz się, jak to jest naprawdę. O właśnie, przypomniałem sobie. Jutro spotykamy się u mnie na rodzinnym obiedzie.

– Będzie cała twoja rodzina? – O mało co nie wypuściła z ręki deski.

– Nie, tylko ci, którzy mieszkają w Lakemont. To taka nasza niedzielna tradycja.

– Colin, czy to naprawdę konieczne? Wiesz, że nie musimy wszędzie chodzić razem. Nie mam nic przeciwko bywaniu u ciebie, taka przecież była umowa, ale myślałam, że jedno spotkanie w tygodniu wystarczy.

– Naprawdę? Ja uważam, że na początku powinniśmy się często pokazywać razem.

Rozumiesz, wiadomość się szybko rozejdzie i równie szybko przestanie być sensacją. Wtedy przystopujemy.

Rachel zamyśliła się. To, co mówił, miało sens.

– Jutro o dwunastej – ciągnął dalej. – A byłoby jeszcze lepiej, gdybyśmy przedtem poszli razem do kościoła.

– Chyba żartujesz!

– Jesteś niewierząca?

– Nie o to chodzi. Ale używać kościoła do rozpowszechniania takich wiadomości... Nie mieści mi się to w głowie. To jak kłamanie pod przysięgą.

– Dobrze, zapomnijmy więc o mszy. Na obiad jednak przyjdiesz?

– A czy nie byłoby lepiej, gdybyś jutro powiedział im o wszystkim? Wtedy nie zdziwiliby się tak bardzo moim przybyciem. – Rachel miała wątpliwości. – Do Święta Dziękczynienia mamy jeszcze mnóstwo czasu.

– Po pierwsze, nie będzie to dla nich niespodzianką. Nie zapominaj, że Patrick widział cię w cukierni. Po drugie, jeśli mi nie obiecasz, że przyjdiesz, to mogę się jeszcze rozmyślić co do dzisiejszego wieczoru. Moi kumple będą czekać w kręgielni.

– Kręgle? Więc taka była ta nęcąca propozycja na dziś wieczór, którą odrzuciłeś.

– I tak lepsze to niż siedzenie w domu. I bez porównania ciekawsze od nudnego przyjęcia. Więc jeśli nie czujesz się na siłach odegrać jutro swoją rolę...

– Powiedziałaś, że nie uznajesz szantażu – przypomniała mu.

– To było, zanim cię lepiej poznałem, kochanie – uśmiechnął się. – Mam więc szukać smokingu czy nie?

– Niedzielny obiad z rodziną – odpowiedziała z udaną łagodnością. – Cóż za wspaniały pomysł. Jak to miło, że pomyślałeś o mnie. Czuję się zaszczycona.

– Nie zagalopuj się, moja droga – ostrzegł ją, dotykając delikatnie koniuszka jej nosa. – Chyba że chcesz mieć nos jak Pinokio. A wtedy nawet moja matka zacznie coś podejrzywać.

Resztę popołudnia Rachel spędziła na rozpakowywaniu kartonów z książkami. Ale i tak była gotowa do wyjścia o pół godziny za wcześnie. Nie mogła usiedzieć w miejscu, więc spacerowała po pokoju, słuchając stukania swoich obcasów. Była bardzo zdenerwowana.

O Boże! Czowała się jak przed pierwszą prawdziwą randką. Złościła ją ta reakcja. Usiadła na kanapie i wzięła do ręki magazyn. Miała jednak powód do zdenerwowania. Colin mógł nie zdobyć smokingu w tak krótkim czasie. A wtedy...

Gdy rozległ się dzwonek u drzwi, natychmiast i pobiegła je otworzyć. Odetchnęła z ulgą, widząc Colina w pięknym smokingu. Zauważyła też, że kiedy spojrzał na nią, uśmiech zamarł mu na ustach. Poczowała ciarki na plecach.

– Coś nie w porządku? – Dotknęła złotego naszyjnika i wygładziła czarną aksamitną koktajlową sukienkę. Uwielbiała czuć ten delikatny meszek pod palcami. Do czego mógł mieć zastrzeżenia? Z pewnością była ubrana odpowiednio jak na taką okazję. Sukienka nie miała za dużego dekoltu, a jedyną jej ozdobą był rząd perłowych guzików. Dobrze się w niej czuła, wiedziała, że wygląda elegancko, a jednocześnie niezbyt wytwornie.

Wzrok Colina powędrował wzdłuż jej sylwetki. Pilot miał minę, jakby nie wierzył własnym oczom.

– Czy uważasz, że jest zbyt krótka? – spytała zdenerwowana.

– Kiedy się ma takie nogi, nic nie jest za krótkie – wykrztusił. – Gdzie masz płaszcz?

Zdjęła z oparcia krzesła futerko i podała mu je. Kiedy odwróciła się do niego plecami, usłyszała mruknięcie zachwytu.

– Co za dekolt!

– Żaden dekolt. To po prostu koronka.

– Czarna koronka bez podszewki. Czy masz na sobie biustonosz?

– Colin, co to za pytanie?

– Głupie. Przecież nie masz. W ten sposób odwrócisz uwagę od długości twojej sukienki.

– Pomóż mi po prostu włożyć futro.

– Tak jest, proszę pani – odparł wcale nie służalczym tonem. Poglądził lekko miękkie futerko. – Ładne. Jakie zwierzątko przedtem je nosiło?

– Oddały na nie życie tysiące biednych poliesterków. – Jest sztuczne? – Wtulił nos w kołnierz. Rachel odchyliła głowę. – O rany! Fantastyczne. Wiesz co, pięknie pachniesz. Co to za perfumy?

Zapaśćby się chyba pod ziemię, gdyby musiała mu powiedzieć, że to Nocna Namiętność. Dlaczego firmy kosmetyczne nadają tak sugestywne nazwy swoim wyrobom? Odsunęła się od niego i wzięła do ręki torebkę.

– Pomyślałam sobie, że pojedziemy dziś moim samochodem – powiedziała niepewnie.

– A to dlaczego? Uważasz, że mój nie pasuje do wyniosłej elegancji Pemberton? Przekonam cię, że to wspaniały samochód. Wiele osób miało już na niego ochotę.

Rachel udała, że mu wierzy. Jednak kiedy znaleźli się w garażu, pomyślała, że Colin nie pasuje do jej samochodu. Tak dziwnie patrzył na mały niebieski kabriolet. Wsiadł do niego i poprawił fotel.

– Kabriolet w Wisconsin? Dobrze to przemyślałeś? Ten daszek nie wytrzyma naporu śniegu.

Rachel postawiła kołnierz futra. Szkoda, że nie wystawiła samochodu na słońce. Teraz skórzane siedzenia były lodowato zimne.

– Przyznaję, że dziwnie tu wygląda, ale w Arizonie był jak znalazł.

– A więc to stamtąd pochodzisz? Kraina udarów słonecznych? Rozumiem. Dla ciebie to auto to nie symbol statusu finansowego, ale sposób na eliminowanie zbyt wysokich pasażerów, tak?

– Colin, czy mówiłam ci już, że staję się niebezpieczna słysząc żarty o niskich ludziach?

– Ależ, Rachel, słoneczko – zdumiał się. – Nie mówiłem o tobie. Jakże coś takiego mogłoby przyjść mi do głowy? Przecież ty jesteś idealna!

– Trzeba przyznać, że potrafisz prawić komplementy.

– I teraz nie będziesz już wierzyła w nic, co powiem, prawda? – spytał smutno, ale Rachel nie wzięła tego na poważnie.

Zbliżyli się już do bramy Pemberton. Cała dzielnica była jedną z najdroższych i

najelegantszych w Lakemont. Nawet ulice były tu prywatne. Rachel nie zdziwiłaby się, gdyby ustawiono tu rogatki, żeby nie wpuszczać nieproszonych gości.

Colin zatrzymał samochód przed rezydencją zbudowaną z cegły i rzeźbionego kamienia. Przez duże okna światło ze środka padało na frontowe schody.

– Nie jest to największe z przyjąć Annę – zauważył Colin, pomagając Rachel wysiąść z samochodu. – Nie ma nawet człowieka od parkowania samochodów.

– Znasz Annę? – zdziwiła się.

– Tak, to moja siostra. Nieźle się ustawiła w życiu, wychodząc za mąż za naszą gazetę.

– Do diabła, nie mogłeś mi powiedzieć, że jesteście rodzeństwem? – wybuchnęła Rachel.

– Myślałem, że o tym wiesz. Skoro powiedziałaś, iż przyprowadzisz kogoś ze sobą...

– Zostawiłam jej tylko wiadomość, nie podałam nawet twojego imienia.

– W takim razie, będzie niezła zabawa – odparł Colin, naciskając dzwonek do drzwi.

– Dobry wieczór, pani Todd, witam, panie McKenna. – Służący wpuścił ich do środka.

Nie było już czasu na klótnie.

Olbrzymie foyer zrobiło na Rachel duże wrażenie. Posadzkę pokrywał wspianały perski dywan, a na ścianach, wyłożonych orzechową boazerią, wisało kilka pięknych olejnych obrazów. Zauważyła, że Colin nie zwracał na to uwagi, ale pomyślała, że zdążył się już do tego domu przyzwyczaić.

– Świetnie, Tomaszu – zwrócił się do siwowłosego służącego, podając mu futro Rachel. – Nawet nie zdziwiłeś się na mój widok. Czy myślisz, że moja siostra będzie zadowolona widząc mnie tu?

– Będzie raczej zaszokowana. – Tomasz uśmiechnął się lekko. – Pan i pani Garrett są w salonie.

– Wskazał im ręką drogę.

Jakby słysząc te słowa, z salonu wyszła Anna.

– Rachel, proszę, chodź – zaprosiła ją do środka.

– Chciałabym, żebyś poznała mojego męża. A to musi być twój... towarzysz – wykrztusiła zaskoczona.

– Cześć, Colin.

– Witaj, Annę. – Podeszedł do niej i pocałował ją w policzek.

Przez chwilę Annę nie wiedziała, co powiedzieć. Potem roześmiała się na cały głos.

– Jesteś niemożliwy, braciszku. A teraz chodźcie, zanim reszta gości – ciekawa, co tu się dzieje – przyjdzie tutaj.

Nazwiska zgromadzonych tu osób nie były dla Rachel obce, chociaż mało kogo znała osobiście. Witając się z niską kobietą o przenikliwym spojrzeniu, którą Annę przedstawiła jej jako Dorie Lehmann, przypomniała sobie ostrzeżenia co do charakteru żony rektora. Pewnie i ona szuka już dla niej odpowiedniej partii.

W pewnej chwili zjawił się Ted Lehmann. Przywitał się z Rachel i Colinem i razem podeszli do siwowłosego mężczyzny, który stał przed kominkiem.

– Jim, przedstawiam ci Rachel Todd, naszą nową cudowną pracownicę, o której już ci opowiadałem. Jest u nas dopiero cztery miesiące, ale zdążyła już znaleźć nowych darczyńców

dla Nicolet. Rachel, poznaj Jima Garretta. Jim zasiada w naszym zarządzie.

Wyciągnęła do niego dłoń. Jim Garrett był postawnym mężczyzną, wciąż przystojnym, ale nawet przemiły uśmiech nie był w stanie wygładzić sieci zmarszczek na jego twarzy. Rachel oceniła, że musi być dwa razy starszy od Anne. Cóż... kilka minut temu Colin powiedział, że Anne nieźle się urządziła, wychodząc za właściciela „Kroniki”. Wygląda na to, że mówił brutalną prawdę. Ale nie oceniaj jej pochopnie, skarciła się, to nie twoja sprawa. Może Anne naprawdę go kocha.

– Dziękuję za zaproszenie, panie Garrett. Ma pan wspaniały dom.

– Już nie jest mój – roześmiał się. – Cieszę się, że Anne i Matt przyjęli go w prezencie ślubnym. Proszę im tylko nie mówić, że z radością złożyłem na ich barki ciężar prowadzenia tego domu, dobrze? – Mrugnął do kogoś, kto stał za plecami Rachel.

– Wszystko słyszałam – odezwała się Anne. – I nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Byłeś dla nas naprawdę wspaniałomyślny. Rachel, poznaj mojego męża, Matta.

Teraz sytuacja wygląda zupełnie inaczej, pomyślała Rachel. Matt Garrett miał około czterdziestki, był wysoki i szczupły. Jego włosy miały kolor miodu. Uśmiechał się w identycznie zniewalający sposób jak jego ojciec.

– Zawsze miło mi poznawać osoby tak oddane swojej pracy, pani Todd. Jest pani prawdziwym skarbem dla Nicolet, jak mówi Ted. To interesujące, czyżby pojawiła się wśród nas dobra wróżka? Proszę nam o tym opowiedzieć.

– Och, to nic takiego...

– Ona jest za skromna – wtrącił się Ted. – Pozwól, że ja ci to wyjaśnię, Matt. Rachel zajęła się studentami, którzy nie spełniają wszystkich warunków, aby otrzymać stypendia, ale bez nich musieliby opuścić Uniwersytet. W jakiś cudowny sposób znalazła dla nich sponsorów, tak więc mogą kontynuować naukę.

– Przecież to właśnie należy do twoich obowiązków, prawda? – zdziwił się Colin.

– Tak – odparła. – To nie są jednak stypendia fundowane. Po prostu pieniądze od ludzi, którzy chcą pomóc młodzieży. Nie jest to wyłącznie moja zasługa.

– Widzicie? – odezwał się znów Ted. – Bagatelizuje całą sprawę. Ale zapomniała wspomnieć, że mamy już dziesięcioro takich studentów. Koszty ich nauki pokrywane są z zupełnie nowych funduszy, do których nie mielibyśmy dostępu, gdyby nie kontakty Rachel. Dzięki niej ci młodzi ludzie mogą dalej kontynuować naukę. Pieniądze pochodzą od Fundacji Carleton. I właśnie dlatego uważam Rachel za nasz prawdziwy skarb – dokończył, patrząc na speszoną dziewczynę.

– To poważna sprawa. – Matt Garrett aż gwizdnął z uznania. – Jak dotarła pani do tej Fundacji?

– Każda osoba, pracująca na takim stanowisku jak ja, wie, do kogo się zwrócić w przypadkach, kiedy wszystko inne zawodzi.

– To nie jest odpowiedź – powiedział cicho Colin.

– To nie miała być odpowiedź. – Spojrzała na niego. – Jeśli zdradziłabym, jak skontaktowałam się z Carleton, inne uniwersytety nie dałyby im spokoju, a to by im się nie spodobało. Wydaje mi się, że rozumiecie, dlaczego chciałabym zakończyć rozmowę na ten

temat.

– Słuchajcie, słuchajcie – przyklasnęła jej Dorie Lehmann. – Starczy już tych rozmów o pracy. Ted, obiecałeś mi przecież, że na parę godzin postarasz się zapomnieć o Nicolet. Rachel, usiądź przy mnie. – Wskazała jej miejsce obok siebie.

Dzięki Bogu, że przyszedłem z Colinem, pomyślała Rachel. Powinno ją to zniechęcić do szukania mi partnera.

– Proszę, opowiedz mi o tym przepięknym naszyjniku, którym wciąż się bawisz. Jest niezwykle. – Żona rektora uśmiechnęła się do niej.

Dopiero teraz Rachel zorientowała się, że cały czas trzyma palce zaciśnięte na łańcuszku. Chyba jednak nikt nie wziął tego za oznakę jej zmieszania.

– Pewnie owoc poszukiwań złota w Arizonie – odezwał się Colin. Wciąż stał obok niej.

– Muszę cię rozczarować. Jest jedyny w swoim rodzaju, ale wyjaśnienie jest całkiem prozaiczne. Jest zrobiony ze starych pierścionków i niepotrzebnych resztek rodzinnej biżuterii. Zostały stopione, a następnie złotnik pozwolił, żeby zastygły w formie takiej nieregularnej bryłki, stąd wygląda jak samorodek. Potem dodał do tego kamienie, które stanowiły oczka pierścionków.

– Wspaniały pomysł. – Annę pochyliła się, żeby przyrzeć się naszyjnikowi. – Ktokolwiek z mojej rodziny ma jakąś biżuterię, wciąż nosi ją w tradycyjnej formie.

A jest co nosić. Rachel zauważyła pierścionek z brylantem na palcu Annę i podwójny sznur pereł na jej szyi.

– Te rzeczy nie nadawały się już do niczego – powiedziała, jakby usprawiedliwiając się. – Nigdy nie oddałabym na przetopienie biżuterii w dobrym stanie. Ale myślę, że teraz wygląda to ciekawie.

– Jest śliczny – potwierdziła Dorie. – To o wiele bardziej praktyczne, niż chowanie starych pierścionków do szkatułki. Najwyraźniej jesteś młodą kobietą, która ma bardzo sensowne podejście do życia.

– Prawda? – zgodziła się z nią Annę. – A teraz już chodźmy. Tomasz mówi, że kolacja gotowa.

Przy stole Rachel posadzono pomiędzy Jimem Garrettem a Tedem Lehmannem, który zaczął ją serdecznie przeproszać, że wywołał taką sensację wokół jej pracy. Przyznał się też, że żona robi mu z tego powodu wyrzuty.

– Naprawdę? – zdziwiła się. – Kiedy? Do kolacji była zajęta rozmową ze mną.

– Proszę mi wierzyć, że po trzydziestu latach małżeństwa ludzie rozumieją się już bez słów. Wiem, że Fundacja Carleton nie chce rozgłosu i postąpiłem nierozważnie mówiąc o niej głośno. To się już więcej nie powtórzy.

– Doceniam to i dziękuję – odpowiedziała mu Rachel.

– Jak to się stało, że zajęła się pani pomocą finansową? – zainteresował się Jim Garrett.

– Tak, nie o takiej karierze marzą nastolatki. Także i w moim przypadku raczej okoliczności mnie do tego zmusiły. Sama potrzebowałam tego rodzaju wsparcia podczas nauki w college'u. Zaczęłam pracować w biurze jeszcze jako studentka i poznałam wszystkie tajniki tej pracy. Kiedy skończyłam naukę, otrzymałam posadę i odtąd mozolnie pnę się w

górze.

– Mieszkała pani na stałe w Arizonie? Taka zmiana klimatu musiała się dać pani nieźle we znaki.

– Nie – odpowiedziała z przymusem. – Wychowałam się w Michigan. W Arizonie byłam tylko przez kilka lat.

– Annę wspominała, że ma pani dyplom z księgowości.

– Tak. I kiedy tylko się tu lepiej zdomowię, zamierzam zrobić doktorat z zarządzania.

– Ona ma chyba ochotę na moje stanowisko – odezwał się Ted z udaną troską w głosie.

– Proszę się nie martwić. To potrwa parę lat. Pozna pan już uroki życia emeryta, zanim będę gotowa.

– Dzięki Bogu! To znaczy, że na razie mogę dalej prowadzić Nicolet. Colin, czy moja sekretarka skontaktowała się już z tobą? W przyszłą niedzielę trzeba odebrać kogoś z Chicago.

– Nic o tym nie wiem. – Colin pokręcił głową. – Jeśli masz już jakieś plany, polecą inny pilot.

Bardzo bym nie chciał prosić cię o poświęcenie sobotniego wieczoru.

– Bo mogłoby to pokrzyżować moje plany miłosne? – spytał Colin z uśmiechem.

Pech chciał, że akurat w tym momencie rozmowy przy stole ucichły i wszyscy usłyszeli pytanie. Rachel poczuła na sobie zaciekawiony wzrok zebranych gości. Spuściła oczy. Przed nią na talerzu leżała smakowita porcja pieczonej kaczki, ale Rachel nie była w stanie przełknąć ani kęsa.

Nikt się nie odzywał. Kątem oka dostrzegła minę Annę. Wyglądała, jakby zakrztusiła się swoim muszem z pstrąga.

– Nie przejmuj się, Ted – ciągnął dalej nie speszony wcale Colin. – Nic nie stracę, ponieważ postanowiłem właśnie zabrać moją ukochaną ze sobą. Może nawet polecimy już w sobotę. Pójdziemy na obiad, potańczymy gdzieś, jednym słowem to będzie świetny weekend. Co o tym myślisz, kochanie?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Po tym popisie Colina, Rachel pragnęła jak najszybciej opuścić przyjęcie. Kiedy goście zaczęli się rozchodzić, skorzystała z pierwszej okazji, żeby się pożegnać. Colin nie zaproponował, za co była mu głęboko wdzięczna. Starła się unikać jego wzroku, chociaż musiała zachowywać pozory, gdyż ktoś mógł ich obserwować.

Wsiedli do samochodu. Colin uruchomił silnik. Rozwiązał krawat i rozpiął kołnierzyk koszuli.

– Nareszcie. Całe szczęście, że nie było tak nudno, jak to się zdarza na niektórych przyjęciach Anne.

– Popatrzył na Rachel, ale ona się nie odezwała.

– Zwykle są tam całe tabuny ludzi i kolacje ciągną się bez końca – wyjaśnił.

W dalszym ciągu milczała. Ruszył.

– Denerwują cię żarty na temat niskiego wzrostu, prawda? A ja tak samo reaguję, kiedy ktoś się do mnie przestaje odzywać – powiedział, kiedy dojeżdżali już do domu Rachel.

– Czyżby? A nie wzięłaś pod uwagę tego, że po prostu mogę być w złym humorze?

– To wyrzuc to z siebie. Nie zamęczaj się.

– Do cholery, wcale się nie męczę!

– Przynajmniej jakaś reakcja. Ale może być jeszcze lepiej.

– Mam ochotę cię zamordować!

– Za co?

– Za pomysł, że moglibyśmy polecieć na weekend do Chicago.

– Uważam, że to niezły pomysł. – Wjechał do garażu. Zgasił silnik i wysiadł z samochodu. – Przyjmij też do wiadomości, że kiedy ostatnio się tam zatrzymałem, mój pokój nie był jedynym czynnym w hotelu.

Faktycznie, zreflektowała się. Nigdy nie padła z jego ust sugestia, że mieliby dzielić ten sam pokój. Nagle zdała sobie sprawę z komizmu całej sytuacji.

– Okay, punkt dla ciebie – roześmiała się. – Widziałeś minę Anne?

– Warto było ich podpuścić, prawda? Więc jak, polecimy do Chicago?

– Nie, moja odpowiedź mimo wszystko się nie zmieniła. Dziękuję za wieczór, Colin. Dobranoc.

– Nie zaprosisz mnie do środka? – Zadrzał lekko. Pomyślała, że to także nie jest najlepszy pomysł. Już miała mu odmówić, ale nie pozwolił jej dojść do słowa. – Pomyśl, każesz mi od razu wsiadać do drugiego zimnego auta. Nie masz dla mnie litości?

– A dlaczego nie masz płaszcza?

– Kazałaś mi wypożyczyć tylko smoking, nie płaszcz.

– I mam ci uwierzyć, że ten smoking jest z wypożyczalni? Chcę zobaczyć rachunek.

– No dobrze, kupiłem go. A co miałem robić? – Ruszył za nią do salonu. – Za kogo mnie masz? Jeśli pozwoliłbym ci wypożyczać dla mnie ciuchy, to czym by się to skończyło? Pewnie czerwonymi slipkami, mogę to sobie wyobrazić. Zasady dobrego zachowania mówią,

że książki, kwiaty i słodczyce to jedyne stosowne prezenty, zanim ogłosi się zaręczyny. A nawet wtedy...

– Znam savoir-vivre, Colin. I nie sądzę, że jestem na tyle naiwna, żeby ci uwierzyć, że kupiłeś ten smoking dzisiaj. Nawet na to nie licz.

– Wygrałaś. Kiedy ma się tyle rodzeństwa, to bardziej opłaca się kupić coś porządnego. Masz ochotę na kawę? Zrobię ci. – Zniknął w kuchni.

Rachel odwiesiła do szafy futro i dołączyła do niego. Kawa już się parzyła, a Colin bawił się z kotem.

– Pozwalasz mu czasem wyjść na dwór?

– Nie. Może to wydaje się okrutne, że trzymam go ciągle w domu, ale on nigdy nie był na świeżym powietrzu i nie wiem, jak by to przyjął. Ma przecież parapet, gdzie grzeje go słońce i świeżą trawę...

– Wskazała na dużą płaską donicę.

– A poza tym ptaki... – zauważył Colin.

– Tak. Koty polują niezależnie od tego, czy są głodne, czy nie. Nie zniósłabym, gdyby pożarł jakiegoś ptaszka.

Kawa była już gotowa. Wrócili do salonu. Rachel za żadne skarby świata by się do tego nie przyznała, ale obecność wytwornie ubranego Colina w jej małej kuchni dziwnie ją peszyła.

– Zaczyna tu wyglądać jak w prawdziwym domu – odezwał się, patrząc na półki z książkami.

– Tak, panuje tu prawdziwy bałagan.

– Nie to miałem na myśli – zaprotestował. – Jest tu teraz o wiele przytulniej. Brakuje tylko kominka.

– Nie doszłam jeszcze do tego. Ale trzeba chyba przeczyścić komin.

– Nie powinno być z tym wiele pracy. No dobrze, teraz twoja kolej.

– Na co?

– Opowiedz mi o sobie. – Zauważył niezadowolone na jej twarzy. – Nie wykręcaj się. Dziś przy stole dowiedziałem się o tobie więcej, niż zdołałem z ciebie wycisnąć przez te trzy dni. Byłoby śmieszne, gdybym nie umiał odpowiedzieć na proste pytanie na twój temat. Na początek najważniejsze fakty z twojego życia. Kiedy i gdzie się urodziłaś?

– Ann Arbor, Michigan. W przyszłym miesiącu są moje dwudzieste siódme urodziny. Włosy zawsze mi się tak kręciły...

– Są naprawdę rude? Mogę się założyć, że twoje zdjęcia z dzieciństwa są urocze.

– Nie są rude tylko kasztanowe, a oczy mam orzechowe, nie brązowe. Co jeszcze... Hobby? Niezłe gram w tenisa, nienawidzę golfa. Co jeszcze chciałbyś wiedzieć? Colin, to śmieszne.

– Ile miałaś lat, kiedy twoi rodzice się rozwiedli? – spytał łagodnie.

– Niecałe dwa.

– Dwa? W takim razie właściwie nie pamiętasz ich jako małżeństwa.

– To za mało powiedziane. W ogóle nie pamiętam mojego ojca. On... – zawahała się. –

On wyjechał i nie widziałam go przez wiele lat.

– Czym się zajmował? Szukał ropy na środkowym wschodzie?

– Był profesorem chemii.

– W takim razie mógł cię regularnie odwiedzać.

– Chyba tak. Nie miał jednak widocznie nigdy na to czasu.

– Ani też na przysyłanie czeków, prawda? Stąd twoja trudna sytuacja podczas studiów, tak?

– Mówisz, jakbyś sam czegoś takiego doświadczył.

– Rachel nagle poczuła się bardzo znużona.

– Nie, ja miałem szczęście. Nicolet jest bardzo hojny dla swoich pracowników. Ich dzieci nie płacą za naukę. Do czasu ukończenia Uniwersytetu mieszkałem też z rodzicami. Mimo to wszyscy musieliśmy zarabiać na swoje wydatki, a w moim przypadku nie było to łatwe. Nauka pilotażu i wszystko z tym związane dużo kosztuje, ale ja prędzej zrezygnowałbym ze szkoły niż z latania.

– Skąd brałeś pieniądze?

– Różnie bywało. Zajmowałem się dziećmi, malowałem mieszkania, odśnieżałem ulice. Nie miałem nic przeciwko takim zajęciom, bo w końcu to była moja decyzja. Później uznałem, że samo latanie to za mało i zapragnąłem własnego samolotu... Ale to przecież ty miałaś opowiadać o sobie, zapomniałaś? Wiec wychowałaś się w Michigan. Tam też chodziłaś do szkoły i potem zaczęłaś pracę...

– Nieźle ci idzie – pochwaliła go. – Mów dalej, a ja będę cię w razie czego poprawiać. – Zamknęła oczy.

– I w końcu zakochałaś się – powiedział cicho.

– On cię zranił, więc uciekłaś do Arizony.

– Źle.

– No to dlaczego wyjechałaś?

– Zaproponowano mi lepszą pracę – wyjaśniła. Czowała jednak, że jej nie wierzy. Zaczęła się bawić swoim naszyjnikiem. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie zadać mu pewnego pytania. – Dlaczego sądzisz, że był jakiś mężczyzna, który wyrządził mi krzywdę?

– Sam nie wiem. Twój ojciec był chyba nędzną kreaturą, ale jest coś jeszcze... – Spojrzał na nią jakby czekając, że potwierdzi jego domysły. Nie powiedziała nic. – Jego odejście nie tłumaczy wszystkiego. Rachel, odpowiedz mi, proszę, na jedno pytanie. Kto stoi za Carleton?

– Nie twój interes. – Ton jej głosu nie był jednak stanowczy.

– Czy to ten facet, przez którego wyjechałaś? – Wyraźnie się ucieszył, kiedy pokręciła przecząco głową. Napił się kawy. – To dobrze. Wiesz, chyba już pójdę.

Wstał. Rachel odprowadziła go do drzwi.

– Co jest dobrze?

– Że to nie on. Jeśli ktoś cię zranił, nie powinnaś mu nic zawdzięczać ani być zmuszoną do utrzymywania kontaktu. A ten Carleton ma dla ciebie wyraźnie duże znaczenie.

– Nie martw się, poradzę sobie.

– Coś mi mówi, że zawsze to robiłaś. – Patrzył na nią przez chwilę. Potem nagle pochylał

się i delikatnie pocałował ją w usta. Wyszedł, ale ona jeszcze długo czuła dotyk jego warg.

Następnego dnia rano Rachel napisała kartkę z podziękowaniem do Garrettów i właśnie przeglądała miesięczny wyciąg konta przysłany jej przez bank, kiedy zjawił się Colin. Pocałował ją na powitanie w czubek nosa, położył papierową torbę i plik gazet na stoliku i poszedł do kuchni.

– Proszę, rozgość się – krzyknęła za nim.

– Dziękuję – odpowiedział. Jej ironia nie zrobiła na nim wrażenia. – Poczęstuj się pączkiem. Jest kawa?

– Musisz zrobić. Spodziewałam się ciebie dopiero za jakąś godzinę.

– Wiem. Pomyślałem jednak, że możemy zobaczyć, czy będzie coś ciekawego w Chicago w przyszły weekend. Dlatego kupiłem gazety.

– Zapomniałeś, że nigdzie nie jedziemy? A przynajmniej ja się tam nie wybieram.

– Wysyłasz mnie samego?

– W drodze powrotnej będziesz miał towarzystwo.

– Też mi atrakcja. Większość tych facetów w ogóle nie chce ze mną rozmawiać. Uważają, że to uwłacza ich godności.

– A może po prostu nie chcą rozpraszać twojej uwagi. W końcu chodzi o ich bezpieczeństwo.

– Wiesz, nie wpadłem na to. Może faktycznie lepiej, żebyś nie poleciała ze mną. Na pewno nie będę mógł się skupić.

– Jeśli próbujesz mnie podejść z tej strony, to i tak nic z tego. – Schowała do biurka dokumenty i książeczkę czekową. – Jak mam się ubrać na dzisiejszy obiad? – spytała, kiedy wszedł do pokoju z przygotowaną kawą.

– Tak jak teraz jest okay. – Spojrzał na jej dżinsy i sweter w kolorze dyni.

Rachel spieszyła się. Była nie umalowana, a po wyjściu spod prysznicą nawet nie rozczesała porządnie włosów.

– Jesteś chyba ślepy.

– Mówię poważnie. Wszystko zależy od tego, w czym się dobrze czujesz i co będziesz robić po obiedzie. W praktyce wygląda to tak, że Annę przychodzi w eleganckiej sukni, jeśli idzie potem na przyjęcie, lub w znoszonych dżinsach, skoro sprzątała właśnie w garażu.

Rachel postanowiła nie posuwać się do takiej przesady. Colin miał na sobie zwykłe sztruksowe spodnie, ale jego koszula była idealnie wyprasowana, a skórzana kurtka pochodziła zapewne z eleganckiego magazynu. Uznała, że w spódnicy i sweterku będzie wyglądać dobrze.

– Spójrz. – Colin podsunął jej gazetę. – Zajmiesz się zaplanowaniem rozrywek w Chicago.

– Ale ja naprawdę... – Przebiegła wzrokiem po stronie i nagle nie mogła powstrzymać okrzyku zaskoczenia.

– Co się stało?

– Nowy musical, który chciałabym zobaczyć. Właśnie zaczynają go grać w Chicago.

– Więc pójdziemy na niego. Nie ma sprawy.

– Colin, nie będę nocować z tobą w Chicago – odpowiedziała twardo, czytając jednocześnie zapowiedź musicalu. Pomyślała, że musi być wspaniały. Z pewnością wybierze się do Chicago, ale sama. W końcu to tylko trzy godziny jazdy samochodem. Odłożyła gazetę i poszła się przebrać.

Długo nie mogła się zdecydować, ale wreszcie wybrała długą spódnicę khaki i brązowy golf. Złote kolczyki i jej ulubiony złoty naszyjnik dopełniły stroju. Obejrzała się dokładnie w lustrze ze wszystkich stron i stwierdziła, że tak powinno być dobrze.

– Próbujesz zrobić na mojej rodzinie wrażenie? – spytał Colin, kiedy wróciła do salonu.

– Odczep się. Jeśli zależałoby ci na mnie, to czy chciałbyś przyprowadzić do domu niechlujnie ubraną dziewczynę?

– Na pewno nie chciałbym, żebyś się czuła skrepowana swoim strojem.

– Nie jestem skrepowana.

– W porządku. W takim razie chodźmy.

W ogrodzie obok grupka dzieci bawiła się wesoło wśród liści. Rachel spojrzała na nie i cicho westchnęła.

– Nie podejrzewałem cię o to – powiedział Colin, otwierając jej drzwi samochodu.

– O co? – zdziwiła się.

– Że lubisz dzieci. Poznałem to po twoim spojrzeniu. Myślałem, że skoro nie interesujesz się mężczyznami...

– Cóż, to nie zawsze idzie w parze. Może kiedyś zaadoptuję jakieś dziecko.

– Jest na to lepszy sposób. Czy nikt ci o tym nie mówił? – spytał, ale mu nie odpowiedziała. – Znowu się do mnie przestajesz odzywać? Chyba zmienię taktykę.

– Na jaką?

– Założę się, że jeśli za każdym razem, kiedy zamilkiesz, pocałuję cię, szybko staniesz się bardziej rozmowna.

– Może i tak, ale nie jestem pewna, czy chciałbyś usłyszeć to, co będę ci miała wtedy do powiedzenia.

– Zaryzykuję – uśmiechnął się.

Dom rodziny McKennów stał w starej dzielnicy niedaleko Uniwersytetu. Rachel nie mogła uwierzyć własnym oczom, kiedy dojechali na miejsce. Ogromny trawnik, wysoka ośmiokątna wieża, to wszystko wyglądało jak z bajki. Nie ma chyba dziecka, które nie wyobrażałoby sobie tak domu dziadków.

Po chwili podbiegła do nich drobna dziewczynka z blond włosami, zaplecionymi w warkoczyki. Rzuciła się na Colina, który aż się zachwiał.

– Wujek Colin! – uśmiechnęła się szeroko. – Widzisz?

– Co? – spytał zaskoczony. – Masz nowy sweterek? Kokardy we włosach? – próbował zgadnąć, jednak dziecko zrobiło zawiedzioną minę.

– Wyleciał ci ząb, prawda? – Rachel pogłaskała małą po policzku. Została za to nagrodzona pięknym dziecięcym uśmiechem.

– Lubię cię – oznajmiła dziewczynka. – Ty zauważyłaś. Czy jesteś nową dziewczyną wujka Colina?

– Hmm... – zawahała się Rachel.

– Tak.

– To fajnie. Słyszałam, jak tatuś i mamusia mówili, że wujek Colin ma nową dziewczynę i mamusia powiedziała, że ma nadzieję, że tym razem...

– Rachel – przerwał jej Colin. – Poznaj Susan, która ma charakterek zupełnie jak jej matka. – Postawił dziewczynkę na ziemi. Susan natychmiast pobiegła do domu ogłosić całej rodzinie, że już przyjechali.

– To córeczka twojej ulubionej bratowej, prawda? Colin, jeśli reszta twojej rodziny jest taka, to nie wiem, czy dam radę.

– Trafiłaś na najbardziej nieznośnego członka mojej rodziny. Mama nie zwraca nawet uwagi, z kim przychodzę. Ojca to nie obchodzi, a babcia jest przekonana, że jestem...

Rachel nie dane było poznać opinii babci, bo weszli właśnie tylnym wejściem do domu i znaleźli się w olbrzymiej kuchni. Kręciło się tam sporo osób. Obok Colina pojawił się sympatyczny berbeć. Za chwilę przyszła też Susan z książką z obrazkami. Dzieci nie chciały puścić wujka ani na moment. Rachel przyglądała się tej scenie i nie mogła sobie odmówić lekko złośliwej uwagi.

– Nie podejrzewałam cię o to, Colin.

– Sam nie wiem, jak to się dzieje. Wystarczy, żebym się tu pokazał, a nie mogę się od nich opędzić.

– Założę się, że dzieci z sąsiedztwa ustawiają się pod twoimi drzwiami z prośbą, żebyś się z nimi pobawił.

– To dlatego, że on sam jeszcze nie wydorósł – odezwała się młoda kobieta w pastelowej ciężowej sukience. Stała przy zlewie i obierała ziemniaki. Umyła ręce i podeszła do Rachel. – Cześć, jestem Camryn. I pomimo tego, co tu usłyszysz, ja i Colin doskonale się rozumiemy.

– Ona robi świetne ciasto czekoladowe – przyznał.

– A kiedy on przestanie udawać Piotrusia Pana, będzie wspaniałym ojcem.

– Camryn, jeśli będzie mi potrzebna reklama, powiem ci. A na razie to nie dostrzegam, czego miałbym żałować. Kiedy tylko przychodzi mi ochota zmienić dziecku pieluchę, wystarczy rozejrzeć się dookoła, a na pewno znajdzie się ktoś, kto tego potrzebuje.

– Nie mogę uwierzyć, że nie wygrzebię się z pieluch przez następne dwa lata – westchnęła Camryn. – Czasem myślę, że upadłam na głowę. – Wzięła synka z ramion szwagra.

Nie była to tak ciężka próba, jakiej Rachel się spodziewała. Matka Colina rzeczywiście była zajęta swoimi sprawami, ale mimo to bardzo sympatyczna. Za to profesor McKenna okazał się cudownym człowiekiem, który przekazał swoim dzieciom nie tylko ciemne włosy i niebieskie oczy, ale i ten szczególny rodzaj rozbrajającego uśmiechu. Mogłaby spędzić całe godziny w jego towarzystwie. Byłoby to mniej stresujące niż obiad z całą rodziną. Mimo że nawet Camryn nie skomentowała jej obecności, nerwy Rachel były napięte do granic wytrzymałości. Po skończonym obiedzie Annę zaproponowała przyjaciółce mały spacer. Colin gdzieś zniknął i Rachel nie mogła się od tego wykryć.

– Jest w garażu, naprawia maszynę do odśnieżania. Zresztą nie potrzebujesz jego opieki przez cały czas. To nie będzie jedna z tych prawdziwie babskich rozmów.

– Na pewno? – upewniła się Rachel.

– Przeprowadziłam już taką z Camryn i powiedziałam, żeby zostawiła cię w spokoju. Musi być fair w stosunku do ciebie.

– Dziękuję ci za to.

– Nie ma za co. Chciałabym wiedzieć, jakie są prawdziwe zamiary Colina. Otwarcie mówi o tym, że nie ma zamiaru się ustakować i jeśli cię oszukuje...

– Nic takiego – wyrwało się Rachel.

– Chyba zaczynam rozumieć – odezwała się Annę po dłuższej chwili. – Ani ty, ani on nie traktujecie tego poważnie.

– To ty mi podsunęłaś ten pomysł.

– Ja? – zdziwiła się Annę.

– Powiedziałaś, że gdybym się tak nie broniła przez randkami, dano by mi w końcu spokój. Więc jeśli udawałabym, że się z kimś spotykam... Jak na razie to zdaje egzamin. Czy masz coś przeciwko temu?

– Ależ skąd. To nie moja sprawa. Ale jak długo zamierzacie ciągnąć to... – Nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa.

– Oszustwo? – dokończyła za nią Rachel. – Do Święta Dziękczynienia. Ale, mam nadzieję, że nie powiesz o tym nikomu?

– Oczywiście, że nie. Nasłuchałam się tylu „życzliwych” komentarzy, zanim wyszłam za mąż, że...

W tym momencie zza zakrętu alejki wyłonił się Colin.

– A, tu jesteście. – Przyłączył się do nich.

– Nie martw się – powiedziała Annę. – Nie poddałam jej przesłuchaniu.

– Annę, jesteś moją najlepszą siostrą. Doceniam to, naprawdę.

– Jestem twoją jedyną siostrą, mój drogi.

– Fakt, masz rację. Rachel, musimy się pożegnać. Mój znajomy, fotograf, chce jeszcze dziś zrobić serię zdjęć lotniczych.

– Colin, czy ty nigdy nie robisz planów? – spytała.

– W takich sprawach planowanie nic nie daje. Wszystko zależy od pogody. Idziesz ze mną czy zostaniesz tu do mojego powrotu?

Nie wiedziała, co jest gorsze: wyjście z nim czy czuły pożegnalny pocałunek na oczach całej rodziny.

– Jak długo to potrwa?

– Z godzinkę.

– Nie wierz mu – wtrąciła się Annę. – Kiedy wsiada do samolotu, traci poczucie czasu.

– To może odwieziesz mnie najpierw do domu?

– Nie dam rady. Jeśli cię teraz odwozę, to zanim samolot wystartuje, nie będzie już dobrego słońca do zdjęć.

– No to chyba idę z tobą.

– Brawo, taką cię lubię. Zawsze gotowa na nowe przeżycia.

Szybko pożegnali się z rodziną Colina. Nikt nie miał czasu zapytać Rachel, kiedy znowu się u nich zjawi. W drodze na lotnisko przyznała się Colinowi, że powiedziała Annę o ich planie.

– Co zrobiłaś?!

– Powinam ci była powiedzieć, że to właściwie jej pomysł. Ale rozmawialiśmy o tym jeszcze wtedy, nim cię spotkałam w cukierni. Wiesz, poza tym muszę cię chyba uprzedzić, że nie tylko Annę ostrzegła mnie przed tobą.

– Czyżby? – Był naprawdę zaniepokojony, a nawet zły.

– O nic się nie wypytywałam. Jestem niewinna. Twoja babcia sama mi powiedziała, że ma nadzieję, że nie traktuję cię zbyt poważnie, bo ty nie masz zamiaru rezygnować ze swojej wolności.

– Och, to nic nowego. Neli mówi o mnie takie rzeczy, odkąd skończyłem sześć lat. Ale przynajmniej ona nie chce mnie z nikim ożenić.

– Nie byłabym taka pewna. Udzieliła mi kilku rad, w przypadku gdybym chciała cię usidlić.

– Neli? Żartujesz.

– Poradziła, że jeśli zależy mi na twoim zainteresowaniu, to zamiast perfum powinnam używać paliwa lotniczego.

– O Boże! – roześmiał się głośno. – Mam nadzieję, że Camryn tego nie słyszała. Rozesłałaby butelki z benzyną wszystkim swoim znajomym.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Samolot, który Rachel ujrzała przed hangarem, przeraził ją. Była to mała, czerwono-srebrna maszyna, która wyglądała raczej na zabawkę.

– Jesteś jego właścicielem? – spytała Colina.

– Tak, mamy kilka samolotów tego typu – odparł, nie przestając sprawdzać, czy dobrze przygotowano go do lotu. – Mamy szczęście, że nie został akurat komuś wynajęty.

– Tak jak w wypożyczalni samochodów?

– O co chodzi? Boisz się, że jakiś narwany pilot mógł się z nim nieostrożnie obchodzić?

– Kiedy już się leci, za późno, żeby się o to martwić.

– Rozchmurz się. To będą zdjęcia z niewielkiej wysokości, jakieś pół mili.

– I to ma mnie pocieszyć? Myślę, że poczekam na ciebie tutaj na dole.

– Dlaczego? Nie wierzysz, że wrócisz cała i zdrowa?

– Nie o to chodzi, Colin. Po prostu nie latałam nigdy takim małym samolotem.

– Więc masz okazję spróbować. Wsiadaj, masz całe tylne siedzenie dla siebie. Jon usiądzie z przodu. Wiesz – zmarszczył czoło – szkoda, że nie pomyślałem o tym wcześniej. Mogliśmy wziąć Susan.

– Na jej pierwszy lot? Na pewno by się ucieszyła – powiedziała Rachel, wchodząc do małej kabinki.

– Pierwszy? Skądże znowu. Ona jest już weteranką. Umiałaby cię uspokoić.

Rachel usadowiła się na tylnym siedzeniu. Pomyślała, że jej kabriolet swoją konstrukcją budzi większe zaufanie niż ten samolocik.

– Proszę, weź moją kurtkę – usłyszała głos Colina.

– W górze jest zimniej, a Jon oprócz tego będzie musiał otworzyć okno. Nie chcę, żebyś zmarzła.

– Otworzy okno? – krzyknęła. – Zostaję na dole. Nie mogła jednak już wsiąść, bo obładowany sprzętem fotograf zajął swoje miejsce. Colin włączył silnik. Rachel zamknęła oczy i starała się przypomnieć sobie wszystko o zachowaniu w czasie awarii samolotu. Ale w tej puszczy od tuńczyka i tak na nic to się nie zda, pomyślała zrezygnowana. Uspokoiła się nieco, kiedy zobaczyła, z jaką uwagą i starannością Colin sprawdza poszczególne wskaźniki. Chyba że odkrył coś niepokojącego i zastanawia się, co zrobić, żeby to zadziało...

– Nie martw się – powiedział do niej przez ramię.

– Jestem pewien, że kazałem mechanikowi przymocować obluzowane skrzydło. – Uśmiechnął się, kiedy w odpowiedzi pokazała mu język.

Podczas kołowania po pasie startowym czuła każdą nierówność betonu. Cały samolot trząsł się. Zatrzymali się, czekając na pozwolenie na start. Usłyszała jakąś wiadomość przez radio, ale z powodu zakłóceń nie rozumiała ani słowa. Colinowi jednak to nie przeszkadzało. Odpowiedział coś i samolot zaczął nabierać prędkości.

Rachel wydawało się, że to raczej ziemia się od nich oddala. Wrażenie było niesamowite. Spędziła wiele godzin w samolotach i niejednokrotnie miała okazję podziwiać piękne widoki.

Jednak wysokość, na której latają liniowe samoloty, sprawia, że człowiek czuje się osamotniony, oderwany od reszty świata. Jakby się oglądało film. Teraz czuła się jak Guliwer podróżujący po krainie liliputów. Wystarczy tylko wyciągnąć rękę, żeby dotknąć domów i samochodów w dole.

Gdy Jon otworzył okno, gwałtowny podmuch zimnego wiatru odebrał jej na chwilę oddech. Jęknęła. Colin usłyszał ją i odwrócił się.

– Trzymaj się. W razie czego gdzieś z tyłu są papierowe torebki.

– Nic mi nie jest – odpowiedziała, przekrzykując hałas powodowany pracą silnika i wiatrem. – Ale jeśli ptaki tak czują się w powietrzu, to za żadne skarby świata nie opuściłabym gniazda.

Uśmiechnął się w odpowiedzi. Rachel przytknęła nos do szyby i zaczęła podziwiać widoki. Po paru minutach Jon skończył i zamknął okno. W kabinie zrobiło się niesamowicie cicho. Dziewczyna zadrżała z zimna i otuliła się kurtką Colina. Futrzany kołnierz delikatnie muskał jej policzki. Poczwała zapach wody po goleniu.

Po wylądowaniu Jon natychmiast poszedł do swojego samochodu. Colin pomógł Rachel wsiąść. Wydostanie się z kabiny nie było takie łatwe. Nie mogła znaleźć dostatecznego oparcia dla stóp i wpadła prosto w ramiona stojącego na zewnątrz Colina.

– Zawsze uważałem to za najprzyjemniejszą czynność w całym lataniu – powiedział, wciąż ją obejmując. Rachel położyła mu dłonie na piersi i próbowała delikatnie odepchnąć, ale bez skutku. – Pozwól mi uporać się z papierkową robotą, a zaproszę cię na drinka w ramach zadośćuczynienia. – Uśmiechnął się i puścił ją. – Byłaś już u Brannigana?

Rachel słyszała o irlandzkim pubie, który znajdował się w starej dzielnicy handlowej, niedaleko brzegów jeziora Michigan. Nigdy jednak tam nie była. Kiedy weszli do środka, rozejrzała się po wnętrzu ze zdumieniem.

– Tu jest niesamowicie – wyszeptała.

Sala była niska, skąpo oświetlona. Zadbano o autentyczny irlandzki charakter pubu. Wystrój wydawał się prosty, ale boazeria na ścianach była wyjątkowo pięknej i starannej roboty. W rogu palił się kominek. Kilka wysokich stołków stało pośrodku miejsca do tańca. Na jednym z nich leżało banjo.

– To najprawdziwszy irlandzki pub. Całe wyposażenie zostało kupione w Dublinie i przetransportowane tu sto lat temu – wyjaśnił Colin. W tym momencie rozległ się dźwięk jego pagera. – Przepraszam, zaraz wracam.

Przy barze stało sporo osób, jednak do Rachel od razu podeszła kelnerka.

– Czego pani sobie życzy?

– Zaczekam, aż mój... – O Boże, kim właściwie jest dla niej Colin? Zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć.

– Och, Colin zawsze bierze to samo.

– Wobec tego, ja poproszę o kawę po irlandzku.

– Rachel spojrzała na nią badawczo. – I czy mogłabym od razu za wszystko zapłacić?

– Colinowi to się nie spodoba, ale proszę bardzo.

– Przyjęła od Rachel pieniądze.

– Reszta dla ciebie. Czy jesteście z Colinem przyjaciółmi?

– Ale nie takimi, jak pani myśli. Po prostu znam naszych stałych klientów.

To ciekawe, pomyślała Rachel. Stały bywalec pubu, który podobno nie pije alkoholu. Intrygowało ją też natychmiastowe posądzenie jej przez kelnerkę o zazdrość. Zobaczyła, że Colin wraca.

– Nic ważnego. Czy Peggy się tobą zajęła?

Po chwili kelnerka wróciła z parującym kubkiem kawy i puszką lemoniady imbirowej. Pilot sięgnął po portfel.

– Na rachunek firmy – powiedziała Peggy i mrugnęła do Rachel.

Colin spojrzał podejrzliwie na Rachel.

– O co chodzi? – spytała.

– Ostatni raz rozdawano tu drinki za darmo chyba pod koniec ubiegłego wieku. – Nalał sobie lemoniady.

– I jak? Czy latanie małym samolotem jest naprawdę takie straszne?

– Nie, wcale nie. A nawet... – urwała. Głupio jej było przyznać się Colinowi do pewnej myśli.

– No, powiedz. Zaczerwieniłaś się, a to oznacza coś ciekawego.

– Czy dałoby się załatwić dla mnie lekcje pilotażu?

– Nie miała wyjścia, musiała mu to powiedzieć. Bóg jeden wie, do czego zaprowadziłyby jego domysły.

– Żartujesz? – Aż się zakrztusił.

– Nie. Nie podejmam jeszcze decyzji, tak tylko pytam. – A widząc powątpiewanie w jego wzroku, szybko dodała: – I nie mówię tego, żeby zrobić na tobie wrażenie.

– Jasne, jak bym mógł tak pomyśleć.

– A zresztą zapomnijmy o tym. Tylko przez chwilę wydało mi się to interesującym pomysłem. – Drżącą ręką uniosła kubek do ust. Była zakłopotana i jednocześnie na niego wściekła. Nawet gdyby zależało jej na nim, nie użyłaby tak banalnego sposobu, żeby mu to okazać!

– Cóż, jeśli chcesz spróbować, to powinnaś zacząć miłą rozmowę ze swoim ulubionym pilotem.

– Czyli z tobą?

– A znasz innego?

– Mógłbyś udzielać mi lekcji?

– Mam licencję instruktora i czasem się w to bawię. Samolot musi latać i zarabiać na siebie. Naprawdę chciałabyś się nauczyć latać?

– Może. – Wpatrywała się z uwagą w posypaną cynamonem bitą śmietaną na powierzchni kawy.

– Do diabła, gdybym wiedział, to pokazałbym ci parę niezłych manewrów. A tak, starałem się lecieć jak najłagodniej.

– Nazywasz to łagodnym lataniem? – Spojrzała na niego zdziwiona.

– Wiesz, zdjęcia lotnicze są zawsze dla pilota pewnym wyzwaniem. Na dodatek, nie

każdy umie odpowiednio prowadzić samolot. Więc kiedy chcesz zacząć?

- Ja się nad tym tylko zastanawiałam. Nie licz jeszcze, ile na mnie zarobisz.
- Moja droga, od ciebie nigdy bym nie wziął ani centa.
- To jaki z ciebie biznesmen?
- Kiepski – przyznał. – Nie policzyłbym ci nawet za paliwo.

Zanim zdążyła mu coś odpowiedzieć, trzech młodych mężczyzn podeszło do wysokich stołków na środku sali. Dwóch miało ze sobą gitary. Trzeci wziął banjo i zaczął grać jakąś melodię. Za moment zawtórowały mu gitary.

- Nigdy nie słyszałam, żeby w jakimś barze występowały zespoły w niedzielę wieczorem.
- A jak myślisz, dzięki czemu Brannigan przetrwał tyle czasu? Właśnie dlatego, że jest inny niż pozostałe puby. Posłuchaj ich.

Podeszła do nich Peggy, niosąc na tacy jeszcze jedną kawę i lemoniadę. Znowu nie pozwoliła Colinowi zapłacić. Nie był z tego zadowolony.

- O co ci chodzi? – spytała Rachel. – Najwyraźniej cieszysz się u niej wyjątkowymi względami. – Nie miała zamiaru wyjaśniać mu, że Peggy uszczupliła po prostu swój napiwek.
- Ona nie może sobie pozwalać na takie gesty – mruknął. – Żeby się utrzymać, pracuje w dwóch miejscach. Nie powinna tak robić.
- Zgadzam się, ale jeśli sprawia jej to przyjemność? Nie odbieraj jej tego. Nie powinienes przypominać jej wciąż, że nie ma pieniędzy. Zostaw po prostu duży napiwek – poradziła mu.
- Co to za piosenka? Irlandzka?

Colin uśmiechnął się w odpowiedzi, ale wciąż był zamyślony. Zaintrygowało to Rachel. Poszukała wzrokiem dziewczyny. Stała przy jednym ze stolików. Zaznaczyła, że nic ją nie łączy z Colinem, ale ta jego troska...

- Widzę, że masz słabe pojęcie o irlandzkiej muzyce. Musimy odrobić straty – zdecydował.

Następna godzina minęła im na nauce tekstów i śpiewaniu jednej piosenki za drugą.

- Masz odpowiedni głos do takich kawałków. Jesteś pewna, że nie masz irlandzkich przodków?
 - Nie mam pojęcia o swojej rodzinie – odparła niedbale.
- Kiedy odwiózł ją do domu, było już bardzo późno.
- Świetnie się bawiłam i nie mówię tego tylko przez grzeczność – powiedziała wesoło.
 - Zauważyłem. A wypijaś zaledwie kilka irlandzkich kaw.
 - To nie dlatego. – Oparła się o drzwi i popatrzyła na niego. – To zasługa muzyki i świetnej atmosfery... – Zaczęła nucić jedną z ballad.
 - Dobry Boże, dziewczyno, czy ty nigdy się nie bawiłaś?

Nie odpowiedziała mu. Zamiast tego wspięła się na palce, oparła dłonie o jego pierś i pocałowała go delikatnie.

- Dziękuję, Colin – szepnęła. Miała zamiar wejść natychmiast do domu, ale objął ją mocno. Speszyla się. Dlaczego to zrobiła? Zachowała się bardzo głupio. Ale przecież mogła mu podziękować. Już dawno się tak dobrze nie bawiła. Poza tym nie ma nic złego w zwykłym przyjacielskim pocałunku.

Postanowiła go przeprosić i już otwierała usta, żeby zacząć mówić, kiedy pochylił się nad nią. Nie zdążyła zaprotestować. Poczula miękki dotyk jego warg na swoich.

Nigdy dotychczas nie przeżyła czegoś takiego. Najpierw lekko muskał jej rozchylone usta. Zadrżała. Potem poczuła prawdziwy smak jego pocałunku. Był słodki, delikatny i zarazem prowokujący. W ten sposób mógłby ją całować bez końca...

– Tak – powiedział, podnosząc głowę. – Tak należy dziękować za udany wieczór.

– Zapamiętam – odparła cicho.

– Lepiej, żeby tak było, kochanie – roześmiał się. Odszedł, a ona wciąż stała przed drzwiami. Nie miała siły zrobić ani kroku. Zastanawiała się, dlaczego to zrobił. Zresztą co w tym złego, jeśli przy okazji będą mieli trochę przyjemności? Przecież żadne z nich nie traktuje ich związku poważnie. A Colin wygląda na świetnego kompana do zabawy.

We wtorek rano Rachel załatwiła właśnie sprawy z jednym ze studentów, kiedy sekretarka oznajmiła jej przez interkom, że Colin chce natychmiast z nią rozmawiać i nie przyjmuje do wiadomości faktu, iż jest zajęta.

– Dobrze, dam mu dwie minuty. Przepraszam na chwilę – zwróciła się do studenta i podniosła słuchawkę.

– Dzień dobry, najdroższa. Twoje przywiązanie do studentów naprawdę zaczyna mnie martwić.

– Czy zadzwoniłeś tylko po to, żeby mi to powiedzieć?

– Nie. Mam coś jeszcze. Poranny spektakl.

– Słucham?

– Dokładniej mówiąc, niedzielny poranny spektakl.

– Musical? Starczy nam czasu?

– Właśnie się dowiedziałem, że nasz gość wybrał najpóźniejszy z możliwych lot z Atlanty. Możemy więc iść na przedstawienie i zostanie nam jeszcze parę wolnych godzin.

– To wspaniale! – rozpromieniła się Rachel. – Zaraz zadzwonię w sprawie biletów.

– Dobrze, niech ci będzie. Do zahaczenia.

Pół godziny zajęło jej dodzwonienie się do kasy i zarezerwowanie biletów. Spóźniła się przez to na lunch z Dawn.

– Przepraszam – powiedziała, zajmując miejsce przy stoliku w cukierni. Nie mogła nie zauważyć, że w tym samym miejscu siedziała w pamiętne deszczowe popołudnie. – Musiałam zadzwonić.

– Do Colina? – spytała Dawn, grzebiąc widelcem w sałatce z kurczaka.

– Dawn, nie zaczynaj. Proszę o kanapkę z żytniego chleba i mrożoną herbatę – zwróciła się do kelnerki. – Peggy? To jest twoja druga praca?

– Tak, w tygodniu pracuję tu, w weekendy u Brannigana – odpowiedziała dziewczyna.

– Masz dziwnych znajomych, Rachel. – Dawn odsunęła talerz z resztą sałatki. – Muszę lecieć. Wiesz, powinnyśmy zjeść kiedyś razem lunch. – Zdjęła kurtkę z oparcia krzesła.

Rachel zrobiło się trochę przykro. Ale skoro miała do wyboru lunch z Dawn lub polowanie na najbardziej poszukiwane bilety w Chicago, jasne było, czym się zajęła. Sama świadomość, że leżą w kasie odłożone dla niej, sprawiała, że była w świetnym humorze.

Podeszła Peggy z kanapką i herbatą. Rachel zapytała kelnerkę, czy lubi swoją pracę.

– Da się znieść, to tylko przejściowy etap – odpowiedziała, wycierając dokładnie stół.

– Co masz na myśli? – Pora lunchu już minęła i Rachel miała nadzieję, że uda się jej porozmawiać chwilę z Peggy. Poza tym była ciekawa, co takiego jest w tej dziewczynie, że Colin ją tak lubi.

– Studiowanie psychologii dziecięcej. Jeśli tylko uda mi się przejść przez testy kwalifikujące.

– Chodzisz na uniwersytet? – spytała zdziwiona.

– Nie, tylko do college'u, kiedy mam czas.

– Ale tam przecież nie zdobędziesz dyplomu. Skończysz tylko dwuletni kurs psychologii.

– Coś wymyślę – odparła smutno Peggy. – Ale obawiam się, że potrwa to ładnych parę lat. Przepraszam, muszę wracać do pracy. – Zauważyła grupkę nowych klientów.

– Chciałabym z tobą o tym porozmawiać. Oczywiście nie teraz. – Rachel wyjęła z torebki wizytówkę. – Przyjdź do mojego biura jeszcze w tym tygodniu.

– Rozmawiałam już z kilkoma osobami. Nie ma sensu się łudzić. Pracując na dwa etaty zarabiam za dużo, aby dostać stypendium, ale za mało, żeby cokolwiek zaoszczędzić.

– Peggy, nie ja ustalam przepisy, ale od czasu do czasu, staram się je trochę nagiąć.

– Myśli pani, że Nicolet... – Oczy Peggy rozbłyły nadzieją, która jednak za chwilę zgasła. – Nie mam szans. Wie pani, ile to kosztuje? O rany, głupie pytanie. Oczywiście, że pani wie.

– Przyjdź do mnie.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Schowała tylko wizytówkę do kieszeni fartuszka, wzięła napiwek i podeszła do innych klientów. Rachel zaczęła się zastanawiać, czy zjawi się u niej w biurze.

Zobaczyła ją dopiero w czwartek, kiedy – prawdę mówiąc – straciła już nadzieję. Skulona z zimna weszła do budynku administracji i ujrzała Peggy przed drzwiami swojego pokoju.

– Przepraszam, że jestem tak wcześnie, ale mam dziś dodatkowy ranny dyżur.

– Wejdz, zaraz zaczniemy. – Rachel powiesiła płaszcz, roztarta skostniałe dłonie i wyjęła plik formularzy z biurka sekretarki.

– Właściwie sama nie wiem, czemu to robię – odezwała się Peggy. – Dzisiaj trzeba chyba być kompletnym nędzarzem, żeby dostać stypendium lub wystarczająco bogatym, żeby samemu zapłacić za naukę.

Reszta ludzi nie ma szans na zdobycie porządnego wykształcenia.

– Tak może jest w miejskich college'ach. Jednak u nas studia są tak kosztowne, że około sześćdziesiąt procent studentów otrzymuje pomoc finansową.

– Fajnie, ale i tak nie stać mnie na zapłacenie reszty. Rachel nie odzywała się. Nie chciała przeszkadzać.

Coś jej mówiło, że drugi raz nie namówi Peggy na przyjście tutaj. W końcu dziewczyna oddała wypełnione formularze.

– Nie chcę zawracać pani głowy, naprawdę. Doceniam, że poświęciła mi pani tyle czasu, ale...

- Boisz się niepotrzebnie rozbudzić w sobie nadzieję?
- Tak, bo za bardzo mi na tym zależy – odpowiedziała cicho.

Rozmawiały jeszcze jakiś czas. Po wyjściu Peggy Rachel przez pół godziny dokładnie studiowała jej papiery. Następnie wzięła słuchawkę i wykręciła tylko sobie znany numer telefonu.

- Roger? Mówi Rachel. Podam ci pewne nazwisko.

Bileter wziął od Colina bilety.

- Proszę za mną, zaprowadzę państwa na miejsca.

– Szósty rząd! Rachel, czy obrabowałaś bank? – spytał Colin, kiedy usiedli. Miał przy tym bardzo dziwną minę.

- Cóż, karty kredytowe to wspaniałe wynalazek – odparła bez troski.

– Zgadzam się, ale i tak musisz kiedyś za wszystko zapłacić. To chyba najlepsze miejsca na widowni.

– Niezupełnie, najlepsze były już sprzedane – uśmiechnęła się do niego. – Colin, czy ty zawsze martwisz się o finanse innych? Najpierw Peggy, teraz ja.

– Peggy to miła dziewczyna. Nie mogę patrzeć, jak ciężko pracuje, a mimo to nie może zrealizować swoich planów. A przy okazji, przyznała się, że to ty zapłaciłaś rachunek w pubie, więc dzisiaj jest moja kolej.

- Porozmawiamy o tym później. Teraz uspokój się i oglądaj przedstawienie.

Kiedy wyszli z teatru, było prawie ciemno. Rachel wciąż pozostawała pod wrażeniem przepięknej muzyki.

- Wspaniałe, prawda? – spytała, kiedy czekali na taksówkę.

– Nieźle – uznał Colin. Szturchnęła go w bok. Uśmiechnął się i zdjął krawat. Złożył go starannie, po czym wsunął do kieszeni kurtki. – A mówiąc serio, jeśli będziesz kiedykolwiek miała ochotę pójść na musical, daj mi znać.

Na kolację poszli do małej, przytulnej restauracji. Na lotnisku O'Hare znaleźli się parę minut przed lądowaniem samolotu z Atlanty.

- Po co właściwie przyjeżdża ten facet? – spytała Rachel.
- Na rozmowę w sprawie pracy, ale nie znam szczegółów.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Rachel zebrwała wszystkie siły i odezwała się:

– Witaj, Derek. Czy miałeś dobrą podróż?

– Nie tak dobrą jak lądowanie.

– Czy ma pan jakiś bagaż do odebrania? – spytał Colin.

– Nie, tylko to – odparł Derek i wręczył mu swoją torbę. Rachel zatrzęsała się z oburzenia, nie chciała jednak robić scen. Powinna była przedstawić sobie obu mężczyznom, wtedy Derek nie zachowałby się tak. Postanowiła zrobić to natychmiast. Już otwierała usta, kiedy Derek wziął ją pod ramię.

– Chodźmy już – zarządził.

Colin zbladł. Wyrzucił trzymaną kartkę z wypisanym na niej nazwiskiem Hamilton.

– Tak, proszę pana. Tędy proszę. – Wskazał ręką drogę do wyjścia z terminalu.

Rachel nie wiedziała, co robić. Bez sensu było teraz przedstawiać ich sobie. Zwrócić Derekowi uwagę? Nie warto, zresztą i tak pewnie nie przejąłby się swoim nietaktownym postępowaniem. Colin był wściekły, przeprosiny nic by już nie dały. Wcale mu się nie dziwiła. Szedł tak szybko, że ona i Hamilton musieli prawie biec, żeby za nim nadążyć.

Kiedy mały autobus podjechał pod stojący na lotnisku samolot, Rachel pragnęła tylko od razu do niego wsiąść i odlecieć. Im prędzej wrócą do Lakemont, tym lepiej.

Colin powiesił torbę z garniturem w kabinie i bez słowa wyszedł z powrotem na pas startowy. Pewnie chce osobiście dopilnować ostatnich przygotowań do lotu, pomyślała Rachel. Byle tylko nie zajęło mu to zbyt wiele czasu. Tak bardzo pragnęła porozmawiać z nim w cztery oczy.

Derek wsiadł do kabiny i rozejrzał się.

– Niezły. Muszę przyznać, że nie spodziewałem się takiego przyjęcia.

– Nie należy do Nicolet. Usiądź wygodnie. Zaraz wrócę.

– Idziesz pogadać z pilotem, prawda? Jego zachowanie pozostawia wiele do życzenia.

Boże, jak mogłam uważać go kiedyś za czarującego i kochającego, pomyślała. Znalazła Colina. Stał przy ogonie samolotu. Usłyszał jej kroki, ale nawet się nie odwrócił.

– Przepraszam za niego – odezwała się. – On...

– Zwykle taki nie jest? – spytał drwiąco.

– Nie, nie tak bym to określiła.

– Kim on jest? Twoim byłym mężem?

– Nie.

– A może jesteście małżeństwem?

– Nie.

– Byliście kiedyś razem?

– Tak, byliśmy.

– I chcesz, żeby do ciebie wrócił. – Popatrzył na nią. Rachel zaprzeczyła. – Tylko tak mogę sobie wytłumaczyć nagłą zmianę w twoim zachowaniu. Z przyjaciela zrobiłaś mnie

służącym w mniej niż...

– Nie powiedziałam ani słowa!

– Nie musiałaś.

Spuściła głowę. Z oczu popłynęły jej łzy. Jedna zatrzymała się na skraju rękawa futra. Patrzyła na nią jak zahipnotyzowana.

– Przepraszam – wykrztusiła. – Pomyślałam po prostu, że lepiej byłoby, gdyby nie wiedział, co nas łączy.

– Dlaczego? Co mógłby zrobić?

Nie odpowiedziała. Nie mogła oczekiwać, że Colin zrozumie, jak mściwy mógłby być Derek. Wzruszyła ramionami i wróciła do samolotu. Derek wskazał jej miejsce obok siebie. Nie skorzystała jednak i usiadła w fotelu naprzeciwko. Popatrzyła w małe okienko. W drodze do Chicago Colin opowiadał, jak pięknie wygląda oświetlone miasto z góry. Tak bardzo chciała to zobaczyć. Ale teraz, z powodu Dereka, siedzi tu, a nie w kabinie pilota. Sięgnęła do torebki po chusteczkę. Poczuła pod palcami bilety do teatru. Ścisnęło ją w gardle. Cudowna atmosfera dnia spędzonego z Colinem bezpowrotnie minęła.

– Co cię tu sprowadza? – spytała Dereka.

– A czym ludzie powodują się w życiu? Nicolet szuka kogoś na stanowisko prorektora do spraw studenckich. Większa uczelnia, lepsza pensja, większa odpowiedzialność.

– I tak po prostu zdecydowałeś się zgłosić?

– A jeśli ci powiem, że przyjechałem tu za tobą? – Spojrzał na nią wyczekująco.

– Nie wierzę. Zresztą nie dbam o to.

– Panie Hamilton, muszę poinstruować pana o zasadach bezpieczeństwa. – Colin zajął swoje miejsce.

– Człowieku, nie zwracaj mi głowy – zniecierpliwił się Derek. – Znam wszystko na pamięć. Latałem już małymi samolotami. Jest późno. Proszę startować.

Colin nie zamierzał się z nim kłócić. Spojrzał na Rachel. Wyczuła to, mimo że patrzyła w bok. Bała się jego wzroku.

– Czy masz ochotę na następną lekcję? Zdziwiła się. Powiedział to tak łagodnym głosem.

Czy już się nie gniewał? O co mu chodzi z tą następną lekcją? Nie miała nawet pierwszej. Ach tak. Daje jej okazję usiąść z przodu, nie wywołując u Dereka podejrzeń. Odpięła pas.

– Oczywiście.

– Pozwolisz jej prowadzić samolot? – spytał wzburzony Derek. – Zgłoszę to twojemu szefowi.

– Proszę bardzo – odpowiedział wesoło.

Przesiadła się. Dopiero teraz zauważyła, jak skomplikowane jest wyposażenie kabiny pilota. Liczba wskaźników i kontrolki przyprawiła ją o zawrót głowy. Jednak dla Colina nie stanowiło to żadnego problemu.

– Nie mówiłeś serio o tej lekcji, prawda?

– Miałbym oddać stery w ręce kogoś, kto w życiu nie dotykał drążka? To jak postawienie na starcie wyścigu świeżo upieczonego kierowcy. Jeszcze mi życie miłe – odpowiedział sucho.

Widok był faktycznie wspaniały. Łuna świateł ciągnęła się wzdłuż całego jeziora Michigan. Wpatrzona i zachwycona tym Rachel prawie zapomniała, jaki jest prawdziwy powód ich lotu.

– Domyślam się, że znasz go jeszcze z Arizony?

– Tak.

– Co robił w Atlancie?

– Nie pytałam go. Może leciał z przesiadką, żeby mieć tańszy bilet. – Spojrzenie Colina mówiło, co chce od niej usłyszeć. Westchnęła. – Przez jakiś czas spotykaliśmy się. Był prorektorem do spraw studenckich w college'u, gdzie pracowałam.

– Potem pokłóciliście się i ty uciekłaś. Chyba rozumiem.

– Nic nie rozumiesz. Wszystko się skończyło na długo przed moją decyzją o przyjeździe do Lakemont.

– I twoja reakcja na jego widok to potwierdza – odparł ironicznie.

Źle to wszystko odebrał. Pragnęła się wytłumaczyć, ale zanim zebrała się na odwagę, Colin zajął się przygotowaniem do lądowania. Poczowała szum w uszach, spowodowany zmianą ciśnienia.

Kiedy tylko ucichły silniki, Derek rozpiął pasy i oznajmił, że zamówił w wypożyczalni samochód. Mają go podstawić na lotnisko. Spytał Rachel, czy chce, żeby ją podwieźć. Odmówiła grzecznie i spojrzała wyczekująco na Colina.

– Dlaczego Derek nie miałby cię odwieźć? – zdziwił się Collin.

– Bo może myślisz, że jestem ci winna wyjaśnienie.

– Winna nie, ale...

– Colin – wykrztusiła. – Zrobiłam parę głupich rzeczy w Arizonie – Posłuchaj, daj mi kilka minut na odprowadzenie samolotu do hangaru. Potem pojedziemy do ciebie i pogadamy.

Gdy weszli do domu, Bandyta podniósł się z bujanego fotela i podbiegł do swojej pani. Nie dał jej spokoju, dopóki nie uklękła przy nim i go nie utuliła. Colin stanął przy kominku i czekał.

– Nie należałam do tamtejszej śmietanki towarzyskiej – zaczęła. – Oczywiście znałam Dereka, ale różnica stanowisk wykluczała umawianie się na randki. A przynajmniej tak wtedy sądziłam. Jednak niespodziewanie zaczął mi okazywać swoje zainteresowanie, zabierać na kolacje. Byłam w siódmym niebie. Ale tylko do czasu, kiedy zorientowałam się, czemu mu na mnie zależy. – Załamał się jej głos. Próbowwała powstrzymać łzy. Bezskutecznie.

Colin usiadł na kanapie i otoczył Rachel ramionami. Przez chwilę broniła się, ale w jego geście była dziwna czułość i pragnienie pomocy. Przytuliła się do niego.

– Nie bój się, płacz.

Nie miała już siły udawać dobrego humoru. Rozpłakała się jak skrzywdzone dziecko. W jego objęciach było jej tak dobrze. Położyła mu dłoń na piersi. Czowała pod palcami rytm bicia jego serca.

– Cieszę się, że poczekałaś z tym – wyszeptał. – W samolocie nie byłoby nam za wygodnie. Kokpit jest jeszcze gorszy niż sportowy samochód.

– A, to dlatego jeździsz taką kolubryną? – uśmiechnęła się przez łzy.

– Proszę sobie nie robić żartów z mojego samochodu – obruszył się. – Wiesz – pogłaskał ją po policzku – masz przepiękną cerę, nawet kiedy płaczesz. Wcale nie robią ci się plamy.

– Dobrze chociaż to.

– Chcesz opowiedzieć mi resztę?

– Kiedy Derek zaczął się mną interesować, odziedziczyłam trochę pieniędzy.

– Po śmierci twojej matki, tak?

– To stało się tak niespodziewanie. Rachel wytarła nos. – Widzisz, niewiele osób o tym wiedziało, więc sądziłam, że...

– Ta zbieżność jest przypadkowa?

– On doskonale się orientował. Zanim jednak uświadomiłam to sobie...

– Zdążył cię już nieźle oskubać? I spodziewam się, że kiedy skończyły się pieniądze, on zniknął. Rachel, jak mogłaś przypuszczać, że jeśli się o tym dowiem, zmienię swoje nastawienie do ciebie? Zdążyłem już poznać twój stosunek do pieniędzy.

– Tak?

– Jesteś okropnie rozrzutna. Ty i ktoś z podobnym charakterem, a sflukalibyście się w parę minut.

– Colin... – szepnęła.

– Już dobrze – powiedział łagodnie. – Już dobrze. Pochylił się nad nią. Tym razem jego pocałunek był niezwykle namiętny i długi. Rachel oddała się całkowicie pieszczocie jego ust. Zamruczała protestująco, kiedy poczuła, że się odsuwa.

– Wiem, ja też tego chcę. Ale właśnie dlatego powinienem już iść. Za chwilę oboje stracilibyśmy głowę.

Te słowa były dla Rachel jak kubeł zimnej wody. – I zrobilibyśmy coś, czego potem żałowalibyśmy?

– spytała ostro. – Nie sądzę.

– W gruncie rzeczy – odparł Colin – chyba masz rację. Podejrzewam, że nie żałowałbym tego. – Spojrzał na nią z miną psotnego chłopca. – Ty zresztą też.

– Pocałował ją w brodę i wyszedł.

Spotkała Dereka w poniedziałek. Jadł lunch z Tedem Lehmannem w stołówce studenckiej. Zobaczyła ich, kiedy stała jeszcze w kolejce, ale będąc w towarzystwie Dawn nie mogła tak po prostu wyjść. Na szczęście kiedy podeszły do stolika, rektor i jego gość właśnie skończyli jeść. Lehmann zauważył Rachel i zaczął przedstawiać jej Dereka.

– Pan Hamilton przyjechał do nas...

– Więc pan jej po mnie nie przysłał? – przerwał mu Hamilton.

– Poleciałaś do Chicago z Colinem, prawda? Mam nadzieję, że spędziliście miły weekend – powiedział rektor spokojnie. Miał jednak dziwny wyraz twarzy. Rachel przypisała to irytacji z powodu wtrącenia się Dereka.

– Bardzo miła wycieczka, Ted. Ale poleciliśmy tylko na niedzielę, żeby obejrzeć musical – odpowiedziała. Dostrzegła wściekłą minę Dereka. Teraz już wie, pomyślała.

– A czemu nie muzeum sztuki albo balet? – spytał złośliwie Hamilton. – Gdyby był w

stanie cokolwiek z tego zrozumieć, pewnie by mu się podobało.

Udała, że tego nie słyszy. Usiadła przy stoliku tak, żeby go nawet nie widzieć i wsadziła nos w menu.

– O co tu chodzi? – zapytała Dawn, obserwując wychodzących mężczyzn. – Na tobie chyba nie zrobił wrażenia, a ja myślę, że wprowadziłby tu więcej życia.

– Jeśli będziemy mieć szczęście, to nie trzeba będzie się o tym przekonywać.

– Nie rozumiem cię. Ciągłe to samo. Miałam już nadzieję, że ten flirt z Colinem pomoże ci polubić facetów.

– Nigdy nie twierdziłam, że nie lubię mężczyzn, a tylko, że nie chcę się z żadnym związać.

– Czyżby? – uśmiechnęła się ironicznie Dawn. – W takim razie jak traktujesz tego Colina? Jako domowe zwierzątko? Słuchaj, powiedz mi, co zakładasz w sobotę na tańce? – zmieniła nagle temat.

– Tańce? Nic o tym nie wiem.

– Rachel, obudź się. Święto Jesieni.

– Wiem, ale sądziłam, że to tylko uliczna zabawa.

– Co to za święto bez potańcówki? Może pójdziemy po zajęciach na zakupy?

– Nie... Jakoś nie mam ochoty.

– Dlaczego? – spytała Dawn podejrzliwie. – Chyba z nim nie zerwałaś? Kochanie, tak mi przykro, że ci dokuczałam.

– Nie, nie zerwałam. Mam po prostu odpowiednią sukienkę na tę zabawę.

– To najbardziej niewiarygodna wymówka, jaką słyszałam, żeby tylko wrócić do domu! – roześmiała się Dawn.

Rachel już miała zaprzeczyć, ale zdała sobie sprawę, że nie przekona przyjaciółki. Wcale nie będzie czekała na Colina. A co o tym myśli Dawn, to już jej sprawa.

Mimo to kiedy wieczorem usłyszała pukanie do kuchennych drzwi, serce podeszło jej do gardła. Starając się uspokoić, zmniejszyła gaz pod garnkiem z sosem i poszła otworzyć.

Colin pocałował ją w przelocie i położył na stole dużą brązową torbę.

– Dwie sprawy. Czy wiesz, że po twoim ogródku myszkuje zgraja łobuziaków?

– Tak, to dzieci z sąsiedztwa. Poprosiłam je o pozbieranie połamanych gałęzi.

– Rozumiem. Płacisz im od sztuki?

– Coś w tym rodzaju. Jak się domyśliłeś?

– Bo siedzą na drzewach i próbują wyłamać wszystkie konary. Mam przemówić im do rozumu?

– Po prostu powiedz, że już wystarczy. Wyszedł na chwilę.

– A ta druga sprawa? – spytała, kiedy wrócił.

– Z twojej łyżki coś kapie na podłogę. Co to jest? Rachel uświadomiła sobie, że trzyma w ręce łyżkę, którą mieszała sos. Westchnęła i złapała szmatę, żeby posprzątać. Kiedy skończyła, Colin wywołał ją na werandę.

Zobaczyła tam swoich małych pomocników, ustawionych w równiutki szereg.

– Strasznie przepraszamy, pani Todd – odezwało się najstarsze dziecko.

- I? – przypomniał mu Colin.
- I uważamy, że nie powinna nam pani zapłacić, bo nie zrobiliśmy tego tak, jak trzeba.
- Jestem pewna, że następnym razem, jeśli będą jakieś wątpliwości, przyjdziecie zapytać
- odpowiedziała. Wyjęła z kieszeni zwitek jednodolarowych banknotów i rozdała je dzieciom.
- Masz za miękkie serce, Rachel – powiedział Colin po powrocie do kuchni. – Przydałoby im się niezłe lanie, a nie pieniądze.
- Niech każde z nas samo zajmuje się swoimi sąsiadami. – Wskazała na torbę, którą przyniósł. – Co jest w środku?
- A gdybym ci powiedział, że chińskie jedzenie?
- Nie w mojej kuchni. Tam w parku jest miejsce na piknik, smacznego.
- Spodziewałem się takiej reakcji. Na szczęście to nie chińszczyzna. To prezent.
- Wydawało mi się, że doszliśmy w tej sprawie do porozumienia. Poza tym tu nie ma miejsca na żadne bibeloty.
- Za bilety płaciłaś ty, pamiętasz? Ale tylko dlatego, że bałem się zapytać cię o ich cenę – dodał szeptem.
- Colin... – zaczęła groźnie.
- Sama powiedziałaś, że książki, słodycze i kwiaty można przyjmować bez zobowiązań.
- Wyciągnął z torby książkę i podał jej. – Proszę. A reszta nie jest dla ciebie, tylko dla Bandyty.
- Atlas ptaków? Dlaczego? – spytała, patrząc na okładkę.
- Ponieważ przy całej jego inteligencji, twój kot nie umie czytać. Gdzie masz śrubokręt?
- Ostatnia szuflada przy zlewie.
- Wziął narzędzia i otworzył podłużne pudło wyjęte z torby. Wysypał z niego mnóstwo kawałków drewna. Po paru minutach Rachel rozpoznała kształt karmnika dla ptaków. Tego tylko mi potrzeba, pomyślała.
- Bandyta będzie miał rozrywkę. Zamocujemy karmnik przy oknie salonu. W ten sposób twój kot będzie mógł obserwować ptaki, leżąc na parapecie.
- Jesteś pewien, że nie wpadnie w depresję, nie mogąc zaspokoić swoich instynktów łowieckich? Nie mam pojęcia, gdzie przyjmuje najbliższy koci psychiatra.
- Nie martw się. To mu zrobi lepiej niż oglądanie telewizji. Miałaś szansę, znowu polecić ze mną do Chicago dziś wieczór.
- Odtransportować Dereka? Nie, dziękuję. Nie został długo – powiedziała po chwili milczenia.
- Nie wiem, czy to oznacza, że nie został zaakceptowany. – Colin wzruszył ramionami.
- Przecież skoro już wróciłeś...
- Nie polecałem.
- Co?!
- Powiedziałem Tedowi, że Derek może sobie iść do Chicago pieszo.
- Niemożliwe, żartujesz sobie!
- Po raz pierwszy odkąd pracuję dla Teda, a to już prawie sześć lat, odmówiłem mu

czegoś. Mam swoje zasady.

– A co na to Lehmann?

– Nie zwolnił mnie, jeśli o to się boisz. Twoje imię również nie padło w tej rozmowie.

Uspokoiła się. Mogła się domyślić, że Colin okaże się przyzwoitym facetem i nie wplącze jej w to.

– Masz ochotę zostać na kolacji? Robię właśnie spaghetti marinara.

– Jasne. Chociaż nie jest to chińskie danie, pachnie wspaniale.

Zabrał się do wykańczania karmnika, a ona wstawiła makaron. Nakryła do stołu. Za parę minut kolacja była gotowa. Rachel stawiała właśnie talerz ze spaghetti na stole, kiedy Colin odezwał się:

– Właściwie to przyszedłem tu z kilku powodów. Ten weekend jest dla ciebie bardzo ważny. Pomyślałem, że powinniśmy zaplanować parę rzeczy.

– Dobry pomysł. – Usiadła przy stole i wzięła serwetkę. – Zdążyłam się już wygłupić. Nie wiedziałam, że nasza randka obejmuje także tańce.

– Przepraszam. Myślałem, że Dawn już ci wszystko wyjaśniła. Czy jest ktoś szczególnie, kogo chciałabyś przekonać?

– Mojej szefowej chyba nie spotkamy. Zresztą przestała już wspominać o swoim siostrzeńcu.

– Siostrzeńcu?

– Tak. Próbowала mnie z nim umawiać. Ale widocznie już się dowiedziała, że się z kimś spotykam.

– Mówiłem ci, że wiadomości szybko się tu rozchodzą.

– Muszę ci przyznać rację. Potem zaczniemy się widywać rzadziej.

– Nie zapominaj o Święcie Dziękczynienia.

– Jakże bym mogła. Śni mi się po nocach. Jak się je obchodzi u was w domu?

– Dość tradycyjnie. Szanujemy zwyczaje pierwszych kolonistów.

– To znaczy? Jecie pudding kukurydziany i rybę?

– No, nie... Chodzi o to, że zapraszamy tyle ludzi, ile się tylko da i bawimy się, dopóki jest co jeść.

– O rany!

– Spodoba ci się. – Uśmiechnął się. – Wróćmy jednak do Święta Jesieni. Gazeta, dla której pracuje Annę, wykupiła lożę na stadionie. Są tam miejsca i dla nas. Niezbyt lubię towarzystwo ludzi z zarządu, ale w taką pogodę przyjemniej jest siedzieć w osłoniętym pomieszczeniu. – Spróbował spaghetti i dodał jakby od niechcenia: – Camryn tam nie będzie. Nie chce się przemęczać, do porodu już niedaleko.

– Nie dokuczala mi aż tak bardzo. Gdy byliśmy same, nawet nie wspomniała o naszym byciu razem.

– Naprawdę? – zdziwił się Colin. – W takim razie nie mam pojęcia, co ona knuje.

Po kolacji zmyli naczynia. Rachel zdziwiła się, kiedy Colin zaproponował, żeby zagraли w karty. Zaskoczył ją ten pomysł, ale zgodziła się.

Dopiero potem zdała sobie sprawę, że w ten sposób chce uniknąć sytuacji takiej jak

wczoraj. Zdenerwowało ją to trochę. Ostatni wieczór był dziwny także z powodu pojawienia się Dereka. Ale żadne z nich nie pozwoli już sobie na utratę kontroli.

Przed nimi jednak jeszcze cały miesiąc. Wiedząc, jaki mają na siebie wpływ, powinni unikać dwuznacznych sytuacji. Świetnie, że oboje zdają sobie z tego sprawę.

Mimo to po wyjściu Colina, kiedy stała przed lustrem smarując twarz kremem, zadała sobie pytanie: Czy miał ochotę ją pocałować?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Rachel po raz czwarty sprawdziła żelazko i zdecydowała, że wciąż nie jest wystarczająco gorące, aby mogła uprasować wzorzystą . bawełnianą bluzkę, którą postanowiła włożyć. Masz jeszcze mnóstwo czasu, upomniała się, sięgając po kanapkę z serem. Zdaży się przebrać i posprzątać, zanim przyjdzie po nią Colin. Prawdopodobnie będzie jeszcze miała czas przejrzeć listy z tego tygodnia.

– Sprawdzasz, czy twoi skrzydlaci znajomi jeszcze tam są? – spytała kota siedzącego na parapecie. Bandyta poruszył ogonem jakby w odpowiedzi. Zauważyła jakiś cień na werandzie. Za duży na ptaka, pomyślała i poszła otworzyć. Tak jak się spodziewała, za drzwiami stał Colin.

– Wygląda na to, że twój karmnik zdobył już sobie reputację w okolicy.

– Te małe darmozjady zdażyły zawiadomić całą okolicę. To był twój pomysł, więc mam nadzieję, że będziesz dostarczał mi ziarno. Pierwsza torba już się skończyła.

– No wiesz...

– Dostawa pod drzwi nie jest konieczna. Powiedz mi po prostu, gdzie je kupić, a prześlę ci potem rachunek – powiedziała. Po chwili dodała w zamyśleniu: – Colin, to był wspaniały prezent. Ptaki są piękne.

– Cieszę się, że zrobiłem ci przyjemność. Ale dlaczego chodzisz jeszcze w piżamie?

– To nie jest piżama. – Spojrzała na swój zielony dres.

– W czym więc występujesz w sypialni? W koronkowych fatałaszkach?

– Nie twoja sprawa.

– Wiem, ale lubię zadawać takie pytania. Kiedy będziesz gotowa?

– Czy muszę się spieszyć? Mecz zaczyna się za parę godzin. – Sprawdziła żelazko. Tym razem było za gorące.

– Do tego czasu można robić inne rzeczy.

– Na przykład uprasować bluzkę. Czasem potrzebuję paru minut dla siebie. Na przykład sprzątanie – nie można odkładać go w nieskończoność.

– Według mnie jest czysto. – Rozejrzał się. – Miałaś całe przedpołudnie. Co robiłaś? Zakupy?

Nie odpowiedziała. Nie musi wiedzieć, iż w ostatniej chwili zdecydowała, że jej sukienka nie jest odpowiednia na tę zabawę. Oczywiście fakt, że idzie z nim nie miał tu nic do rzeczy.

– A więc zgadłem. Rachel, jesteś niepoprawna.

– Nie będę tłumaczyć ci się, jak spędzam czas. – Zaczęła prasować rękaw bluzki. – Poza tym siedziałeś u mnie prawie co wieczór. Kiedy miałam to zrobić?

– Nie obchodzi mnie to. Ubieraj się.

– Najpierw muszę ją uprasować. – Nie przerywała zajęcia.

– Przecież i tak włożysz na nią sweter. Uprasuj tylko kołnierzyk i mankiety.

– Co by twoja matka pomyślała?

– A jak sądzisz, kto mnie tego nauczył? – Uśmiechnął się.

Rachel próbowała się uporać z falbankami. Nie lubiła niestarannej roboty.

– Czemu tak się spieszysz?

– Zobaczysz, ubierz się ciepło.

Dokończyła prasowanie. Wyłączyła żelazko z kontaktu, przewiesiła sobie bluzkę przez ramię i poszła do łazienki. Po chwili Colin znowu zaczął ją ponaglać.

– Czy chcesz, żebym wyglądała jak ostatnie czupiradło?

Nie odpowiedział na to pytanie. Chciał jednak wiedzieć coś innego.

– Zmieniłaś zdanie na temat lekcji latania? Wróciła do salonu, zapinając kolczyki.

– To był chyba tylko słomiany ogień. Im więcej myślę, tym bardziej nierozsądny wydaje mi się ten pomysł.

– Latanie? – spytał urażony.

– Jako moje hobby – wyjaśniła szybko Rachel.

– Coś mi się wydaje, że w rzeczywistości wydałaś po prostu pieniądze na ciuchy, prawda? Nawet te, które pozwoliłem ci wygrać w pokera. Jesteś okropną niewdzięcznicą.

– Wcale nie dałaś mi wygrać! To ja cię ograłam.

– W paru rozdaniach byłaś lepsza, przyznaję. Ale ogólnie twoja dobra passa nie była dziełem przypadku.

Rachel przestała go słuchać. Zaczęła obserwować kota. Bandyta przywarował na środku pokoju. Wolno poruszając ogonem, wpatrywał się w coś.

– Co on obserwuje?

Colin pochylił się nad kotem.

– Jakiegoś owada.

– Owada? W moim domu?! Wyrzucić go natychmiast, proszę.

– To tylko biedny, mały karaluch, Rachel. Nie zrobi nikomu krzywdy. One nie jedzą swetrów ani...

– Nie obchodzi mnie to. Nie cierpię karaluchów. Colin wziął gazetę ze stolika, przełożył na nią karalucha i wyrzucił go do ogródka.

– Sądziś, że w ten sposób uratowałeś mu życie? – spytała Rachel, kiedy wrócił. – Jakiś ptak zje go w przeciągu paru minut.

– Zgoda, ale to już jest naturalna selekcja. Prawo natury. Chciałaś, żebym się go pozbył i tak też zrobiłem. Co cię skłoniło do zmiany zdania na temat latania samolotem?

– Czy ktoś ci już mówił, Colinie, że jesteś niemożliwie uparty?

– Kilka osób wspominało coś na ten temat. Więc co?

– Pomyślałam, że zajmie mi za dużo czasu. Nie mogę zaniedbać pracy. Wkrótce zacznę też znów chodzić na wykłady. Poza tym, jeśli Bóg chciałby, żebym latała...

– ... Wynalazłyby samoloty. Mówiłem to samo wiele razy. – Pomógł jej włożyć płaszcz. Położył rękę na ramieniu Rachel. – Zauważyłaś, że niemal czytamy w swoich myślach?

Zarzuciła na szyję szalik. Jego końcem niechcący uderzyła Colina w twarz. Przestał mówić, by wyjąć z ust nitki wełny.

– Błogosławiona cisza – odetchnęła Rachel. – Muszę zapamiętać, jak udało mi się tego dokonać.

Podjechali samochodem pod Uniwersytet. Mieli szczęście, znajdując tam miejsce do parkowania. Rachel ze zdumieniem patrzyła na główną ulicę przystrojoną girlandami. Jedna obok drugiej stały tam małe budki z pamiątkami i jedzeniem.

– To prawdziwy uliczny festyn.

– Chyba nie myślałaś, że Lakemont zadowolony się byle czym.

– A co robicie, kiedy Święto Jesieni trzeba odwołać z powodu śniegu?

– Wtedy zabawa jest jeszcze lepsza – zapewnił ją Colin. – Urządzamy bitwy na śnieżki, a wieża z kurantem służy nam za cel. Raz udało mi się trafić w największy dzwon.

– Śnieżką? – spytała z niedowierzaniem, patrząc na czteropiętrową wieżę.

– Tak. Był potworny hałas. Strażnik nie był tym zachwycony. Masz ochotę na watę cukrową?

Nie czekając na jej odpowiedź, podszedł do budki ze słodyczami. Rachel patrzyła, jak sprzedawca nabiera olbrzymią porcję na długi patyk.

– To wcale nie przypomina waty – stwierdziła, oglądając ze wszystkich stron olbrzymią różową kulę. – Raczej wygląda jak materiał izolacyjny. Kto wymyślił taką głupią nazwę?

– Przestań się czepiać, jedz.

– Mam to zjeść? Ja tylko trzymam ją dla ciebie.

– Podzielimy się. – Przytrzymał jej rękę i oderwał zębami spory kawałek przysmaku. – Chyba nigdy tego nie próbowałaś – dodał domyślnie.

– Nie. – Widząc jego zdumiony wzrok, zaczęła wyjaśniać. – Cóż, kiedy byłam dzieckiem, w domu nigdy nie było pieniędzy na takie przyjemności.

– Żadnych zabaw, wesołych miasteczek, jarmarków?

– Niestety. – Rachel smutno pokiwała głową. – Jeśli mama miała pieniądze, to szłyśmy do kina. Uważała, że to było bardziej kształcące.

– A kiedy dorosłaś, nie miałaś czasu na takie rozrywki. W takim razie, moja droga, dzisiaj przeżyjesz jeden z najpiękniejszych dni swojego życia. Zjedz trochę cukrowej waty, żeby mieć siły i zaczynamy zabawę.

Ostrożnie spróbowała. Przez moment czuła smak cukru na języku. Kiedy przełknęła ślinę, nawet to zniknęło. Poczuła się rozczarowana.

– Takie sobie.

– Nie zrażaj się. Trzeba się przyzwycząć. Obeszli wszystkie budki i sklepiki z pamiątkami.

Colin zauważył, że Rachel przygląda się pluszowym zabawkom.

– Chodź, zdobędę dla ciebie taką przytulankę – powiedział i pociągnął ją w stronę strzelnicy.

– Czy to nie hazard?

– Nie dla kogoś, kto nieźle strzela.

– I ty krytykowałeś mój sposób wydawania pieniędzy. Teraz wydało się, które z nas je wyrzuca.

– Wybierz swoją nagrodę. – Załadował wiatrówkę, a właściciel strzelnicy ustawił rzutki.

– Ten duży brązowy miś.

– Dobrze. Ale będziesz musiała go nieść.

Pięć minut później Rachel paradowała po ulicy z misiem pod pachą.

– Dobrana z was para – zażartował Colin. – Wasze oczy są tego samego koloru.

– Miło mi. Gdybym jeszcze znalazła sposób, żeby go wygodnie nieść... – Zabawka nie była ciężka, ale duża i Rachel nie mogła sobie z nią poradzić. W końcu zaczęła nieść misia jak dziecko.

– Ostrzegalem cię, że go wygram.

– Za pieniądze, które zostawiłeś na strzelnicy, spokojnie mogłabym kupić takiego w sklepie.

– Ale to nie byłoby to samo. Czemu się złościysz o mały hazard?

– Sama nie wiem, coś mnie niepokoi.

– Nie martw się, nigdy nie stawiam więcej, niż mogę sobie pozwolić stracić.

– Przepraszam. – Spojrzała na niego. – To przecież nie moja sprawa. Dziękuję ci za misia.

– Już lepiej. Ale należy mi się również całus. – Położył jej ręce na ramionach.

– Tutaj?

– Czemu nie? Jeśli zobaczy nas ktoś znajomy, tylko potwierdzimy domysły. Obcy nie zwrócą uwagi.

Ma rację, pomyślała. Tutaj, wśród ludzi, czuła się też bezpieczniejsza. Żadne z nich nie pozwoli sobie na to, co mogliby zrobić będąc tylko we dwoje.

Popatrzyła mu w oczy. Zadrżała na myśl, że dotknie ustami jego twarzy. Przez ostatni tydzień unikali wszelkich czułych gestów. I tak powinno zostać, zdecydowała nagle. Zrobiła krok do tyłu.

– Czy nie musimy iść na mecz?

– Rachel Todd, twoja pamięć jest zadziwiająca – skomentował. Chyba było mu przykro.

– Przecież tak ci na nim zależało.

Zaczęli iść w stronę stadionu. Colin gwizdał melodię, którą słyszała kiedyś w pubie.

– Popatrz, tam jest wróżka. Chodźmy do niej.

– Colin, to bzdury.

– Jasne i dlatego to taka świetna zabawa.

Weszli do pogrążonego w półmroku pomieszczenia. Kobieta, którą tam zastali, świetnie przygotowała się do swojej roli. Włosy i twarz miała owinięte kolorowymi chustami, na rękach dzwoniły bransolety. Jej głos był niski, tajemniczy, hipnotyzujący. Wzięła Rachel za rękę. Spojrzała dziewczynie w oczy. Następnie odwróciła jej dłoń i dotknęła swoimi palcami.

– Widzę mężczyznę o ciemnych włosach w twojej przyszłości.

– Także i teraz. Jest tu przecież ze mną.

– Przestań – szepnął Colin. – Daj jej szansę. Podczas wróżby Rachel zaciskała usta, żeby nie parsknąć śmiechem. Dopiero kiedy wyszli, zaczęła na dobre nabijać się z wróżki.

– Kompletnie się na tym nie zna. To z pewnością ochotniczka, zbierająca pieniądze na jakiś fundusz charytatywny. Czeka cię podróż... Mogłaby wymyślić coś lepszego.

– Jesteś niesprawiedliwa. Ludzie pomagają uatrakcyjnić święto, jak tylko mogą. Nie

rozpoznałaś jej? To Dawn.

Teraz uświadomiła sobie, że w spojrzeniu tej kobiety było coś znajomego.

– Jednak w jej słowach było nieco prawdy. Może się okazać, że naprawdę ma talent. Choćby to, co mówiła o pieniądzach... Kazała ci nie przesadzać z wydatkami. Oboje zaś wiemy, iż...

– Wydaje mi się, że to odnosiło się raczej do ciebie i twojego tracenía forsy na strzelnicach. – Poprawiła trzymanego w ramionach misia. – Poddaję się. Dobrze, że on nie waży tyle, na ile wygląda, bo groziłoby mi skrzywienie kręgosłupa.

– Pomóc ci?

– Mógłbyś? – Podała mu zabawkę. – Obiecałam, że będę go nosić...

Ale Colin nie słuchał. Zaczął rozmawiać z mijającym ich clownem. Za chwilę odwrócił się. W ręku miał sznurek, na końcu którego kołysał się czerwony balon. Przywiązał go do szyi misia i poklepał go po pluszowym grzbiecie.

– Proszę bardzo. Teraz będzie lżejszy.

– I to nazywasz pomocą?

– No dobrze. Zaniosę go na stadion. Ale robię to tylko dlatego, żebyś zniecierpliwiona nie zostawiła go na schodach jakiegoś domu.

– Nie obchodzi mnie, czemu to robisz. – Z ulgą wyprostowała ramiona. Po chwili wzięła Colina pod rękę.

Spóźnili się na rozpoczęcie gry, ale żadna z drużyn nie strzeliła jeszcze gola. Towarzystwo w loży „Kroniki” bawiło się w najlepsze.

– Szkoda, że nie ma tu reszty rodziny – powiedziała Annę na widok misia. – Camryn bardzo by się spodobało twoje... twoje ojcowskie podejście.

– Gdyby ona tu była, nie zachowywałbym się tak. – Colin posadził zwierzaka na krześle i wetknął mu w łapkę proporczyk Nicolet. Następnie zawiązał mu na szyi szalik Rachel. Cofnął się o krok i z zadowoleniem podziwiał wygląd nowego kibica.

– Wiecie, czasem myślę, że powinnam była pojechać na Florydę – odezwała się zziębnięta Rachel. Zmarzła podczas spaceru i teraz energicznie rozcierała sobie ramiona.

– Miałaś propozycję stamtąd? Cieszę się, że wybrałaś jednak Nicolet – odpowiedział Colin.

Zrobiło się jej bardzo miło. Widać nie żałuje, że się poznali... Popatrzyła na niego i dopiero teraz dostrzegła kpiący uśmieszek.

– Na Florydzie jest potwornie gorąco. Poza tym sezon na karaluchy trwa cały rok, a to by ci się nie spodobało – dodał.

– Gorzej niż tu nie może być nigdzie. Już sam fakt, że mamy dwie pory roku. – Annę podała Rachel kubek grzanego wina.

– Dwie? Myślałam...

– Jedna to zima – wyjaśnił Colin. – A druga to roboty drogowe. Dziewięć miesięcy potrzeba na wyrównanie wybojów, a potem znowu przychodzi zima.

Z pierwszych rzędów trybun dobiegły ich okrzyki radości. Rachel odwróciła się, żeby popatrzeć, co dzieje się na boisku. Zauważyła Teda Lehmana, siedzącego parę rzędów niżej.

Wskazał jej puste krzesło obok siebie.

– Nie masz lornetki, prawda?

– Nie, a szkoda. Nie miałam pojęcia, że nasze miejsca są tak wysoko.

– Czasami mam kłopoty z zauważeniem rzeczy, które dzieją się tuż pod moim nosem – powiedział cicho, patrząc na boisko.

Zadrżała. Nie, nie miał nic na myśli. Ale ton jego głosu, jego spojrzenie... No tak, mogłam się tego spodziewać. Mogłam przewidzieć, że Derek nie będzie bawił się w dyskrecję. Milczała. Czekala, co powie Ted. Chyba jednak nie przyjął Dereka. Zwracał uwagę na drobiazgi, a słyszał, jak Hamilton wyrażał się o Colinie.

– Mam nadzieję, że nie będziesz rozczarowana. Nie sądzę, żeby pan Hamilton mógł z nami pracować.

– Tak?

– Tworzymy tu wszyscy niemal rodzinę. Jesteśmy wobec siebie lojalni. Nie ma tu miejsca na plotki ani osobiste rozgrywki.

Czyżby więc nie uwierzył Derekowi?

– Respektujemy swoją prywatność – ciągnął Ted. – A ten młody człowiek chyba nie rozumie, co to znaczy. To twoja sprawa, co robisz, Rachel. Jeśli jednak kiedykolwiek będziesz chciała o tym porozmawiać...

Zagłuszył go entuzjastyczny aplauz kibiców Nicolet. Ludzie wybiegli na boisko i cieszyli się ze zwycięstwa swojej drużyny. Colin rzucił się ku Rachel i wyściskał ją. Wszyscy w loży wiwatowali na cześć swoich graczy.

W sali, gdzie odbywała się zabawa, panował tłok. Rachel i Colin skończyli taniec i podeszli do swojego stolika. Oboje byli zmęczeni.

– Myślę, że przyda nam się przerwa – powiedział Colin. – Zresztą już prawie północ.

– Północ? – zdziwiła się. To niemożliwe, żeby czas leciał tak szybko. Zbyt dobrze się bawi, aby wracać do domu. – W takim razie chyba musimy kończyć zabawę.

– Widzę, że nie masz na to ochoty. Zupełnie jak mała dziewczynka, którą odsyła się do pokoju.

– Jeśli chcesz wyjść... – uśmiechnęła się.

– Niezupełnie. Przejdziemy się? Tylko chwilę, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.

Nie miała wielkiej ochoty wychodzić na mróz. Colin jednak szybko przyniósł jej futro i nie miała siły mu odmówić.

Kiedy wyszli, poprowadził ją w stronę budynku administracji.

– Dlaczego? Tam nie ma śniegu, jeśli masz ochotę porzucać śnieżkami w dzwony na wieży. – Pomimo protestu jednak nie zawróciła.

Wiatr ustał i chociaż było zimno, Rachel z przyjemnością szła obok Colina. Wziął ją za rękę. Zatrzymali się pod wieżą. Colin spojrzał w górę. Noc była ciemna, nie świeciła nawet jedna gwiazda. Już miała zapytać, co go tak zainteresowało, kiedy nad ich głowami rozdzwoniły się dzwony.

– To tradycja Nicolet – powiedział. Objął Rachel i pocałował ją w usta. W tym momencie

zapomniała o zimnie. Oblała ją fala gorącej czułości. Nie była pewna, czy słyszy bicie dzwonów, czy własnego serca.

Całowali się przez wszystkie dwanaście uderzeń.

Colin wsunął ręce pod jej kurtkę. Poczwała jego dotyk na biodrach i w duchu była mu wdzięczna, bo nie miała pewności, czy drżące kolana pozwolą jej utrzymać się na nogach.

– Nie rozumiem – odezwała się. – Tradycja?

– . Dziewczyna staje się prawdziwą studentką Nicolet, kiedy ktoś pocałuje ją pod wieżą podczas Świeta Jesieni – wyjaśnił jej niezwykle łagodnym, jak na niego, głosem.

– Aha. A więc w pewnym sensie wypełniasz uniwersytecki obowiązek. – Odchyliła się lekko do tyłu, by móc lepiej na niego patrzeć.

– Można tak powiedzieć – skinął głową. – Ale nie myśl sobie, że robię to często.

– Co roku jedna dziewczyna, tak?

– Rachel! – Wydał się oburzony. – Prawdziwy mężczyzna nie mówi o takich rzeczach.

– Statystyka mnie nie interesuje. Zastanawiam się tylko, jak mogłeś popełnić taki błąd.

– O czym ty mówisz?

– Ja nie jestem studentką.

– Uważasz, że ten zwyczaj ciebie nie dotyczy i nie powinienem być cię całować?

– Coś w tym rodzaju.

– W takim razie musimy coś zrobić. – Po chwili zastanowienia na jego ustach pojawił się znany Rachel, rozbijający uśmiech. – Już wiem. Musisz mi oddać mój pocałunek. – Przygarnął ją do siebie.

Pomysł był tak wariacki, że wybuchnęła śmiechem. Colin jednak nie przejął się jej reakcją i pochylił się nad nią.

Pierwszy pocałunek rozpałił Rachel, drugi rozniecił w jej ciele prawdziwy ogień. Colin w dalszym ciągu był delikatny, ale tym razem ona wtuliła się w niego nie chcąc, aby cokolwiek ich rozdzieliło. Nigdy jeszcze tak się nie czuła. Stanowił dla niej ochronę przed całym złem zewnętrznego świata. Pragnęła, aby zatrzymał ją w swoich ramionach na zawsze.

Nie odsunęła się, kiedy ich pocałunek się skończył. Stała przytulona do Colina. Jej dłonie spoczywały na jego ramionach. Miała wrażenie, że upadnie, jeśli ją puści.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, co się stało. Zrozumiała, czemu wieczór minął tak szybko. Już wiedziała, dlaczego dzień spędzony z Colinem był dla niej taką ogromną przyjemnością. Ani razu nie pomyślała o przyjaciółkach, ani o jego rodzinie, po prostu pozwoliła się porwać rytmowi wspaniałej zabawy.

Zamierzała oszukać innych, a w rezultacie oszukała siebie i teraz pozostało jej tylko pragnienie, aby iluzja stała się rzeczywistością.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby uważał mnie za atrakcyjną i wesołą, a nawet za kobietę, z którą mógłby spędzić resztę życia.

Kiedy to sobie uświadomiła, przestraszyła się. Jednak nie oczekiwała natychmiastowej deklaracji miłości. To jest nierealne, ostrzegła samą siebie przed złudzeniami. Na to było jeszcze za wcześnie.

Na razie wystarczyłyby jej o wiele prostszy układ. Gdyby tak przestali udawać i zostali po prostu parą, która doskonale się rozumie, dwojgiem ludzi, którym dobrze ze sobą... Może wtedy pewnego dnia odkryliby, że łączy ich coś wyjątkowego.

– Rachel, przepraszam, nie chciałem...

– Nie, to nie twoja wina – wykrztusiła. Nie była w stanie powiedzieć nic więcej, tak zaskoczyły ją własne myśli. Ale to dobrze, bo to nieodpowiedni moment na jakiegokolwiek słowa.

Zdała sobie sprawę, że ciągle go obejmuje. Dużo kosztowało ją zdjęcie rąk z jego ramion, gdyż w rzeczywistości miała ochotę przytulić się do niego i poczuć smak jego pocałunków.

Zerwał się wiatr. Rachel zatrzęsała się z zimna. Colin otulił jej twarz kołnierzem futra. Zaczęli iść w stronę parkingu.

– Chyba już czas, żeby wrócić do domu.

W odpowiedzi skinęła mu głową.

Jechali w ciszy. Rachel czuła się skrępowana. To prawda, posunęli się za daleko, ale reakcja Colina była dziwna. Czyżby tak się jej wystraszył? Czy zrobiła coś, czym go do siebie zniechęciła? Gdzie jego humor i dowcipy? Czy domyślił się jej pragnień i to go przeraziło?

– Ostatnio to ty skarżyłeś się na ciszę w samochodzie – próbowała rozładować sytuację. Jednak ledwo to powiedziała, przypomniała sobie, w jaki sposób Colin chciał niedawno rozwiązać ten problem. Zaczzerwieniła się. Czy mógł sobie pomyśleć, że ona ma zamiar zrealizować jego „groźbę”?

Jej wysiłki spełzły na niczym. Nawet się nie uśmiechnął.

– Nie wiem, co powiedzieć. Rachel, nie chciałem tego.

Najwyraźniej żałował, że pocałunek pod wieżą nie był tylko przyjacielskim buziakiem, jakim wita się w Nicolet studentki. Poczwała ukłucie w sercu. Wszystko okropnie się pokręciło. A nie powinna oczekiwać po nim niczego. Jasne, nie zamierzał się przecież z nikim wiązać, powiedział jej to na samym początku. Nie ukrywał przed nią swoich pobudek. Postawił sprawę jasno, zgadzając się na jej szalony plan.

– Rozumiem, wszystko w porządku.

– Myślę, że powinniśmy o tym jeszcze porozmawiać, ale później. – Odkaslnął. – Najpierw musimy ochłonąć i przemyśleć to na spokojnie.

Wzruszyła ramionami. Udzieliło się jej zdenerwowanie Colina. Miała już dosyć ich wymuszonej rozmowy.

– Naprawdę, nie ma o czym mówić. – Nie zniósłaby jego wyjaśnień i przeprosin. – Po

prostu trochę nas poniosło.

- Tak, masz rację – odparł po chwili z wyraźną ulgą w głosie.
- Nie przejmuj się – uspokoiła go. Zatrzymał samochód przed jej domem.
- Nie będę wchodził. Tak chyba jest... bezpieczniej. – Wsiadł i podszedł otworzyć jej drzwi.

Zamknęła na moment oczy, starając się odzyskać spokój. Po chwili na jej ustach pojawił się już wesoły uśmiech.

– Świetny pomysł. Kontakt z tobą jest niebezpieczny – powiedziała i wyszła z samochodu.

W tym momencie Colin zrobił krok do tyłu. Musiał mnie przecież przepuścić, pomyślała, ale mimo to odniosła wrażenie, że chciał uniknąć jakiegokolwiek jej dotyku. Jakby obawiał się, że rzuci mu się w ramiona.

Zdenerwowało ją to. Posmutniała, ale postanowiła nie dać nic po sobie poznać.

– Musisz uważać, Colin. Jakaś kobieta może wziąć na poważnie twoje hołdowanie tradycji i stracić dla ciebie głowę.

– Ty nie jesteś lepsza. Rozgrzałaś bryłę lodu – odparł.

Czy naprawdę tak myśli? Przyszło jej do głowy, iż może po prostu chce jej dać do zrozumienia, że to, co się wydarzyło, było po prostu spowodowane tylko atmosferą wieczoru, a nie rodzącym się między nimi uczuciem.

– Dobrze, że Święto Jesieni jest tylko raz do roku – odpowiedziała, zastanawiając się dalej nad jego słowami.

Colin stał przy samochodzie czekając, aż wejdzie do domu. To miło, że tak się o mnie troszczy, ale wolałabym, żeby odjechał, powiedziała sobie w duchu. Szła w świetle reflektorów. Czowała na sobie jego spojrzenie, jakby obserwował ją na scenie. Doszło do tego, że była świadoma każdego swojego ruchu.

Ze zdziwieniem zauważyła, że kiedy idzie, delikatnie kołysze biodrami. Czy Colin nie weźmie tego za chęć zwrócenia na siebie jego uwagi?

Zdawało się jej, że droga do drzwi trwa wieki.

Z ulgą wsunęła klucz do zamka. Wtedy usłyszała, że ją woła, jakby niepewnym głosem.

Trzasnęły zamykane drzwi samochodu. Szedł do niej. Suche liście chrzęściły pod jego stopami. Zaciśnęła mocno palce na kluczu. Czy chce jej powiedzieć, że zmieniły się reguły ich gry?

Nawet o tym nie marz, ostrzegła się. Złudne nadzieje tylko pogorszą twoją sytuację.

Odwróciła się. Zobaczyła, że niesie pluszowego misia, wygranego na strzelnicy.

– Po meczu zupełnie zapomnieliśmy o biedaku. Pewnie zmarł na kość.

Wyciągnęła ręce po zabawkę. Ich palce spotkały się. Nie była na to przygotowana, więc gwałtownie cofnęła dłoń, jakby dotknęła czegoś bardzo gorącego. Zaraz jednak zawstydziała się swojej reakcji. Nie chciała przecież specjalnie sprawić mu przykrości.

– Colin, dziękuję ci za dzisiejszy dzień. Święto Jesieni okazało się fantastyczne.

– Może wpadnę jutro, jeśli się zgodzisz. Skinęła mu przyzwalająco. Patrzyła, jak wraca do samochodu. Weszła do domu. Nie zapalała światła.

Zdjęła futro i rzuciła je niedbale. Usiadła w ulubionym fotelu. Zjawił się Bandyta i wskoczył jej na kolana. Przytuliła go mocno i pogłaskała brązowe futerko.

– Jesteś głupia, Rachel Todd – powiedziała głośno do siebie. – Jesteś strasznie głupia.

Sama sobie nawarzyła piwa. Sama wpadła na ten dziwaczny pomysł. Nie chciała się związać z żadnym facetem, więc wymyśliła ten idiotyczny plan. Nie spodziewała się tylko, że złapie się we własne sidła. A raczej sidła Colina...

Ale przecież to normalne, że podoba się jej przystojny mężczyzna. Mogłaby się martwić, gdyby nie zwracała uwagi na atrakcyjnych facetów. Nie jest jednak w nim zakochana, po prostu bardzo go lubi. W innych okolicznościach może mogłaby go pokochać. To jednak nie wchodzi w rachubę. Nie wolno jej zapomnieć, że przez cały czas udają. Nie może uwierzyć w jego słowa i gesty, bo skończy się to dla niej bardzo smutno.

Jednak... Ciężko jest przyznać się do tego nawet przed sobą, ale dla niej gra się skończyła. W pewnym momencie zaczęła naprawdę dobrze czuć się w towarzystwie Colina, szczerze zapragnęła jego pocałunków i pieszczot. Nie musiała udawać, jej reakcje stały się jak najbardziej naturalne. Nie miała nic przeciwko temu, że trzymał ją za rękę, całował, że śmieszyły ich te same żarty.

Czy jest możliwe, że Colin czuje to samo?

Podczas musicalu nikt ich nie obserwował, a przecież trzymał ją za rękę przez cały czas. Dlaczego? Ostatnio całował ją, nawet jeśli w pobliżu nie było ciekawskich sąsiadów. A właściwie... Teraz, kiedy się nad tym zastanowiła, uprzytomniła sobie, że całował ją właśnie wtedy, kiedy byli sami. Czy świadczy to o zmianie jego stosunku do niej, czy po prostu tak świetnie wczuł się w rolę? Przecież ludzie się zmieniają. Najlepszym przykładem jest ona sama.

– Nie bądź naiwna – przykazała sobie.

Mimo wszystko tak można by tłumaczyć dzisiejsze zachowanie Colina. Odkrył, co do niej czuje i poczuł się niezręcznie. Ta teoria nawet ma sens. Poszczególne fragmenty doskonale pasują do układanki. W ten sposób można też wyjaśnić jego niechęć do rozmowy. Mógł naprawdę nie wiedzieć, o czym z nią rozmawiać.

Jutro wyjaśni jej swoje dziwne zachowanie. Tak, z pewnością jutro się zobaczą. A jeśli nie? Przecież nie obiecał jej tego, powiedział jedynie, że może przyjdzie. Poczwała ucisk w żołądku. Była jednak wdzięczna Colinowi, że nie zgodził się na rozmowę dzisiaj. Sama miała ochotę wszystko dokładnie sobie przemyśleć. Trudno byłoby jej podjąć dziś jakąkolwiek decyzję. Pośpiech to zły doradca. Najbardziej zależy jej teraz, aby oboje po namyśle zdecydowali, co naprawdę do siebie czują.

Poza tym do Święta Dziękczynienia zostało jeszcze mnóstwo czasu, prawda?

Niedziela strasznie się ciągnęła. Rachel nie była w stanie zająć się czymkolwiek. Złościło ją, że zachowuje się jak zadurzona nastolatka, ale za każdym razem, kiedy słyszała na zewnątrz jakiś hałas, biegła sprawdzić, czy to nie Colin.

Po południu przestała na niego czekać. Zmusiła się, żeby usiąść przy biurku. Powinna w końcu przejrzeć rachunki. Kolumny cyfr pozwolą jej zapomnieć o rozczarowaniu.

Zajęcie to tak pochłonęło jej uwagę, że kiedy godzinę później Colin zadzwonił do drzwi, w pierwszym momencie zadała sobie pytanie, kto do niej idzie. Wstając gwałtownie od biurka, potrafiła stos papierów. Rachunki rozsypały się na podłodze.

– Masz ochotę na wypad do Brannigana? – spytał Colin, kiedy mu otworzyła.

– Jasne – odpowiedziała bez wahania. – Daj mi tylko parę minut.

– Chcesz się przebrać? – Spojrzał na jej obszerny kremowy sweter i zielone spodnie. – Wyglądasz świetnie.

Zarumieniła się. Na pewno zauważył, że nie jest to jej zwykły strój domowy. Równie dobrze mogła powiesić sobie na szyi kartkę z oświadczeniem, że czekała na niego.

– Powiedziałaś, że może wpadniesz. Szczerze mówiąc, byłam przygotowana, żeby iść z tobą na następny domowy obiad.

– Przecież bym cię o tym uprzedził. – Był wyraźnie zaskoczony. – Poza tym rodzice wyjechali na weekend.

– Dokąd?

– Trudno powiedzieć. Wybierali się do Nowego Orleanu, ale matka kupowała bilety, więc równie dobrze mogą wylądować na Hawajach. Co robiłaś? – spytał, podchodząc do biurka.

– Porządkowałam rachunki. Ostatnio nie miałam na to czasu.

– Nie możemy pozwolić, żebyś za chwilę przyjemności zapłaciła spotkaniem z komornikiem. – Pomógł jej pozbierać z podłogi koperty, które niechcący zrzuciła. Zaczął bawić się z kotem.

Rachel podpisała parę czeków i włożyła je do kopert. Przejrzała pobieżnie ostatnią pocztę. To śmieszne, ale drżały jej dłonie i była trochę zdenerwowana. Opanuj się, nie będziesz przecież tracić głowy za każdym razem, kiedy tu przyjdzie! – powiedziała sobie.

– No, reszta może poczekać do przyszłego tygodnia – oświadczyła zadowolona.

U Brannigana bawiono się w najlepsze. Musieli poczekać przy barze na wolne miejsce. Colin zamawiał właśnie coś do picia, kiedy Rachel zauważyła, że zwalnia się jeden ze stolików.

– Idźcie, przyniosę wam drinki – poradziła im Peggy.

Kiedy przedarli się przez tłum ludzi i usiedli, Rachel roześmiała się.

– Czuję się, jakbym wygrała na loterii – powiedziała i wzięła Colina za rękę. Spoważniała.

Spojrzała mu w oczy. Zawsze uważała, że jest przystojnym mężczyzną. Często spoglądała na jego niebieskie oczy, roześmiane usta. Tym razem jednak było inaczej. Teraz śmieszne drobne zmarszczki w kącikach oczu, czy te większe, wokół ust, stały się nieważne. Patrzyła na człowieka, którego szczerze kochała.

Nie potrafiła powiedzieć od kiedy. Może to była miłość od pierwszego wejrzenia, a może przełomem okazał się tamten wieczór, kiedy opowiedziała mu o Derek u.

– Colin – zaczęła, ale słowa nie chciały przejść przez ściśnięte gardło. Zresztą nie może wyznać mu w barze, że go kocha. Prawdopodobnie natychmiast uciekłby. Musi mu jednak powiedzieć o innych sprawach...

– Wczoraj dostałam list z Uniwersytetu, pani Todd. – Peggy postawiła przed nią kawę. –

Wszystko już załatwione.

– To wspaniale. Cieszę się – odpowiedziała. Pomoc dla tej dziewczyny była ostatnim tematem, na jaki chciała teraz rozmawiać, ale nie miała serca psuć jej radości.

– O co chodzi, Peggy? – spytał Colin.

– W styczniu zaczynam studia. – Nalała mu do szklanki imbirowej lemoniady.

– Jak sobie poradzisz?

– Pani Todd mi pomogła – uśmiechnęła się kelnerka.

– Rachel, twoje zdrowie – wznosił toast.

– Zdobyła dla mnie pełne stypendium, dodatek na mieszkanie i podręczniki. Mogę zrezygnować z pracy w cukierni. Mnie samej jeszcze trudno w to uwierzyć. Jest pani cudowna. Mam nadzieję, że Colin to docenia... – Nie dokończyła, bo dobiegło ją wołanie klientów, zajmujących sąsiedni stół.

– Tak, Rachel Todd, jesteś naprawdę cudowna – przytaknął. W jego głosie było jednak coś dziwnego.

– Po prostu wykonuję swoją pracę.

– Robisz to doskonale.

– Wiem i dlatego mnie tu zatrudnili.

– Kiedy Peggy zaczęła się starać o stypendium?

– Parę tygodni temu – odpowiedziała niechętnie. Nie było jednak sensu ukrywać tego.

– Czyli, gdy poznała ciebie.

– Tak.

Muzycy zrobili sobie przerwę. Szmer rozmów także przycichł. Colin zamilkł. Patrzył tylko na nią badawczo. Po chwili Rachel miała tego dość.

– Przestań tak mi się przyglądać.

– Czemu? Co ci nie odpowiada?

– Jakbyś patrzył na zupełnie obcą osobę.

– Zaczynam wątpić w to, że cię znam. Mógłbym przysiąc, że Peggy nie myślała wcześniej o Nicolet. Potem zjawiasz się ty i sprawa jest załatwiona.

– Widocznie Peggy nie mówi ci o wszystkim.

– Gdzie znalazłaś pieniądze? Czyżby znowu Fundacja Carleton?

– Wyobraź sobie, że tak. Ta dziewczyna spełnia ich wymagania. Jest ambitna, pracowita, potrzebowała jedynie małego wsparcia.

– Małego wsparcia? – powtórzył za nią. – Pełne stypendium plus utrzymanie? Chciałbym dowiedzieć się więcej o tej fundacji.

– Przykro mi, ale nie mogę udzielać żadnych informacji. Sponsorem jest prywatna osoba, która nie życzy sobie... – Gładko wyrecytowała formułkę, którą powtarzała już setki razy.

– Nie wątpię, że dba o dyskrecję. Powiedzieć ci coś? Wzruszyła ramionami.

– Czemu nie? Każdy ma prawo wyrazić swoją opinię – odpowiedziała, mimo że niczego tak nie pragnęła, jak zabronić mu tego.

– Myślę, że to ty jesteś naszym tajemniczym sponsorem.

– Colin, daj spokój. Skąd bym wzięła taką fortunę? Ciągłe mi mówisz, że źle wydaję

swoje pieniądze. – Pod stołem zacisnęła dłonie tak mocno, że paznokcie wbiły się jej w ciało.

– I mam rację. Weźmy na przykład twoje futro. Fakt, że jest sztuczne. Jednak nie wygląda na tanią imitację z pierwszego lepszego sklepu. Rachel, ty coś ukrywasz. Masz niezły samochód, który kosztował ładną sumkę. Ubierasz się klasycznie, ale nosisz rzeczy najwyższej jakości. Ten słynny naszyjnik. Jedyne w swoim rodzaju. Oboje wiemy, że w jubilerstwie liczy się nie tylko waga, ale i kunsztowna robota. A musical? Założę się, że nie pierwszy raz kupiłaś najdroższe bilety.

Rachel zacisnęła usta.

– Nie wiem, ile zarabiasz. Domyślam się jednak, że z twoją pensją musiałybyś płacić za wszystko kartą kredytową i mieć nadzieję, że pewnego dnia to spłacisz.

– Może tak jest.

– Widziałem twoją książeczkę czekową. Zwykle nie zwracam na takie rzeczy uwagi, ale zaintrygowała mnie jej grubość.

Rachel miała wrażenie, że zaraz zemdleje. Widocznie była tego popołudnia bardziej rozkojarzona, niż przypuszczała. Jak mogła sobie pozwolić na taką nieostrożność?

– Zauważyłem też nazwisko. Rachel C. Todd. Co oznacza litera C?

– Catherine – odpowiedziała głucho.

– W takim razie Carleton to nazwisko rodowe. Twojej matki? Wiesz, że mogę się tego dowiedzieć. Nie na darmo mam siostrę w gazecie. Jedno jej słowo, a trzech reporterów wyjaśni wszystkie twoje tajemnice.

– Colin, proszę, nie rób tego. Przecież nie popełniam zbrodni.

– Jesteś mi winna wyjaśnienie. Powiedziałaś, że odziedziczyłaś małą sumę pieniędzy. Polisa ubezpieczeniowa twojej matki, prawda?

Nieporadnie próbowała się bronić.

– Nie skłamałam ci. Założyłeś, że tak właśnie było.

– Ale mnie nie poprawiłaś.

– Nie – powiedziała cicho, bliska łez. – Nie zrobiłam tego, ponieważ... – Sięgnęła po chusteczkę, żeby wytrzeć nos. – Widzisz, dysponuję tak olbrzymim majątkiem, że sama nie wiem dokładnie, ile tego jest.

Colin milczał. Jeśli jej słowa zrobiły na nim wrażenie, to nie dał tego po sobie poznać.

– Jak to się stało? – zapytał wreszcie zupełnie łagodnym głosem.

– Nie obrabowałam banku ani nie wygrałam na loterii. Odziedziczyłam pieniądze po ojcu.

– Profesorze chemii?

– Tak. Oczywiście to nie są jego oszczędności. Ojciec był autorem pewnego wynalazku. To dość skomplikowane, ale ogólnie chodzi o lakier samochodowy, który nie rdzewieje. – Nagle nabrała odwagi do opowiadania. – Po śmierci matki pojechałam do Arizony. Wiedziałam, że tam jest ojciec. Zostałam sama i potrzebowałam kogoś. Nie miałam pojęcia o pieniądzach. Dopiero kiedy zmarł, dowiedziałam się prawdy.

Przerwała na chwilę.

– I nagle stałaś się bogatą dziewczyną. Doszłaś więc do wniosku, że jesteś lepsza od innych – padły bezlitosne słowa Colina.

- Nie! Wcale tak nie było!
 - Więc to mógłby mi powiedzieć o tobie Hamilton? Jesteś potwornie wyrachowana. Kłamiesz i oszukujesz, próbując chronić swoje pieniądze!
 - Dziękuję ci bardzo za wyjaśnienia, ale nie jesteś moim psychoterapeutą! – odgryzła się.
 - Bawiłaś się mną! Sprawilo ci to duzą przyjemność?
 - Colin, nie kłamałam. Po prostu nie powiedziałam wszystkiego. Sam wywnioskowałeś, że straciłam pieniądze i że to Derek ze mną zerwał.
 - Nie zależało ci jednak, żeby wyprowadzić mnie z błędu.
 - Jeśli sobie dobrze przypominam, to nie dałeś mi szansy. Swoje domysły przyjąłeś za prawdę.
 - A myślałem, że będziemy przyjaciółmi. – Jego głos był niski i ostry. Wstał i włożył kurtkę. – Ale przyjaźń, Rachel, polega na mówieniu sobie prawdy, nawet jeśli jest bolesna.
 - Odwiesz mnie do domu? – spytała cicho.
 - Nie zostawiam kobiet na pastwę losu. Odetchnęła z ulgą. Uspokoi się. Zaprosi go do siebie, wyjaśni...
- Wyjął portfel. Położył przed nią na stole banknot.
- Na taksówkę – oznajmił i wyszedł.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Miał rację. Powinna była powiedzieć mu prawdę na samym początku. Ale skąd mogła przypuszczać, że sprawa jej pieniędzy będzie miała jakiegokolwiek znaczenie dla ich niecodziennego związku?

Na początku to rzeczywiście nie było ważne. Kiedy zaczęli tę zabawę, jasno ustalili jej zasady. Nie wypytywała go o jego życie i stan konta, a więc i on nie powinien oczekiwać jej zwierzeń na ten temat. Gdyby wszystko poszło tak, jak zaplanowali, ta kwestia nie zostałaby w ogóle poruszona.

Jej uczucie do Colina skomplikowało ich związek. Pozwoliła, żeby zblżyli się do siebie bardziej, niż to zaplanowała. Jednak nawet wówczas nie uważała, że powinien znać prawdę. Gdy zdała sobie sprawę z tego, że go kocha, było już za późno na wyjaśnienia. Miał prawo zarzucić jej, że celowo wszystko przed nim zataiła. Miała przecież tyle okazji, żeby z nim porozmawiać. Musi teraz pogodzić się z tym, co się stało. Czasem nie trzeba słów, żeby kogoś okłamać. Można zrobić to samo, po prostu nie mówiąc nic.

Nic dziwnego, że nie wytrzymał. Skąd mógł wiedzieć, iż miała mu wszystko powiedzieć, tylko że przeszkodziła jej w tym Peggy. Ale czy to by coś zmieniło?

Okoliczności tobie nie sprzyjają, Rachel, pomyślała.

Potała palcami skronie, chcąc wygnać ból, który się tam zagnieździł.

Powiedział, że przyjaźń polega na zaufaniu. Polega również na umiejętności słuchania, dodała w myślach z wyrzutem. Między przyjaciółmi wyjaśnia się problemy do końca, a nie wyciąga pochopne wnioski. Colin najzwyczajniej w świecie obraził się, bo mu nie zaufała. Surowo ją osądził, nie pytając o przyczyny, dla których nie powierza swoich sekretów wszystkim ludziom dookoła.

– Jeszcze jedną kawę? – przerwała jej rozmyślenia Peggy.

– Nie, dziękuję. Wychodzę.

– Sama? A gdzie Colin?

– Już poszedł.

– Pokłóciliście się? O rany, mam nadzieję, że nie przeze mnie.

Rachel spojrzała na nią badawczo.

– Przez to, co powiedziałam o docenianiu pani. To oczywiście prawda, ale może to źle zrozumiał. Faceci są czasem strasznie drażliwi.

– Nie, to nie twoja wina, Peggy. – Rachel wstała od stolika i włożyła futro. Banknot od Colina zostawiła na stole, chociaż miała wielką ochotę podrzeć go na kawałki i wysłać mu pocztą. Niech jednak Peggy weźmie te pieniądze jako napiwek, będzie z nich lepszy pożytek.

Pieniądze! Tylko ona wie, ile problemów jej przysporzyły. Derek był tym najgorszym, choć nie on jeden zainteresował się jej osobą z powodów czysto finansowych. Czy Colin nie rozumie, że miała podstawy, aby liczyć się ze słowami?

Może to i dobrze, iż nie starała się za wszelką cenę wyjaśnić mu swojej sytuacji. Z tego, co stało się dziś, wywnioskowała, że nie wyszłoby jej to na dobre. Krótkowzroczność Colina

najwyraźniej kazała mu spodziewać się ogłoszenia w gazecie o wysokości jej majątku. Następnie zapewne kazałby jej wierzyć w szlachetne pobudki zainteresowanych nią mężczyzn.

Złapała taksówkę. Podczas jazdy kierowca próbował nawiązać z nią rozmowę, ale zbyła go mrukliwymi odpowiedziami. Wciąż analizowała zdarzenie w pubie. Doszła do wniosku, że słusznie postępowała. Skąd mogła przypuszczać, iż zaangażuje się uczuciowo lub że Colin okaże się zupełnie inny niż Derek.

Nie miała zresztą całkowitej pewności, co do jego bezinteresowności. Wyrachowani ludzie potrafią dobrze się z tym kryć. W taki sposób oszukiwał ją Derek. A Colin na przyjęciu u Annę określił jej małżeństwo jako świetną partię. Wydawało się, że w pełni popiera decyzję siostry.

Nie, na pewno żartował, a Annę wyszła za mąż z prawdziwej miłości. Nie mógł tego więc nie pochwalać.

Taksówka zatrzymała się przed jej domem. Rachel zapłaciła i wysiadła.

Zrobiła kotu coś do zjedzenia, a sobie herbatę. Usiadła na kanapie w salonie. Nie zapalała lampy. Patrzyła na nie używany kominek i nagle zatęskniła do płonącego ognia i trzasku drewna. Jednak wciąż nie poprosiła nikogo o sprawdzenie drożności komina. Zresztą i tak nie miałyby teraz siły, aby wstać i rozpalić ogień.

Skuliła się i narzuciła na ramiona pled. Głowę oparła o brzuch niedźwiadka, którego wygrał dla niej Colin. I pomyśleć, że było to zaledwie wczoraj.

Miś pachniał jeszcze wodą toaletową Colina. Zrobiło się jej jeszcze bardziej smutno. Poczowała się bardzo samotna.

Właściwie samotność to jej stała towarzyszka. Nawet jako dziecko Rachel zawsze trzymała się na uboczu, bo jej matka nigdy nie zachęcała córki do zawierania znajomości.

Wtedy Rachel nie zastanawiała się, dlaczego tak jest. Już jako mała dziewczynka była bardzo wrażliwa i czuła, że jej matka jest po prostu inna.

Kiedy podrosła, zrozumiała, dlaczego Alice Todd nie uśmiecha się i stroni od żartów. Zdała sobie sprawę, przez co przeszła jej matka, kiedy opuścił ją mąż. Jednak w pewnym momencie zrodziło się pytanie, czy skrytość i chłód matki są wynikiem ciężkich doświadczeń życiowych, czy też zawsze taka była i dlatego jej małżeństwo się rozpadło. Czy to było przyczyną odejścia ojca? Czy naprawdę był tak niegodziwym człowiekiem, jak go jej przedstawiano?

Dlaczego nie utrzymuje kontaktu z córką? Nie chce tego czy nie może? Czyżby matka udaremniała wszelkie próby spotkania się Henry'ego Todda z Rachel? Ale mogłby przecież napisać do niej, zadzwonić... Pamięta, jak wzięła pod uwagę możliwość, że Alice przechwytuje jego listy, że oznajmiła mu wręcz, iż córka nie jest zainteresowana własnym ojcem.

Usiadła prosto, odrzuciła pled. Napiła się herbaty z trzymanego w ręce kubka. Była zimna, ale Rachel nawet tego nie zauważyła.

Wróciła myślami do tamtej wiosny, kiedy zmarła matka. Od jej śmierci minęły już prawie cztery lata. Pierwsze miesiące były dla Rachel bardzo trudne, bo mimo wszystko kochała

Alice. Nie miała innej rodziny i nagle znalazła się zupełnie sama na świecie. Dlatego, kiedy doszła do siebie, postanowiła odnaleźć ojca.

To naturalne, że o nim pomyślała. Zastanawiała się, czy chciałby wiedzieć o śmierci byłej żony, czy gotów byłby pocieszyć swoją córkę i zapewnić ją, że może na niego liczyć.

Od początku wiedziała, że nie może tak po prostu do niego zadzwonić lub przyjść do jego mieszkania. W końcu minęło ponad dwadzieścia lat. Nawet gdyby się ucieszył jej widokiem, mógłby być to dla niego zbyt duży szok. List również nie wchodził w rachubę. Możliwe, że założył nową rodzinę, która nie wie o istnieniu córki z pierwszego małżeństwa.

Szukając miejsca pobytu ojca przez wykazy kadry uniwersyteckiej, miała czas na obmyślenie planu działania. Kiedy ustaliła, że wykłada chemię na Uniwersytecie w Arizonie, natychmiast zaczęła się tam starać o pracę. Znalazła posadę w małym college'u. Spakowała rzeczy do swojego starego samochodu, sprzedała co się dało i wyruszyła do gorącej Arizony...

Wstała z fotela i poszła do kuchni. Wstawiła znowu wodę na herbatę. Co prawda wcale nie chciało się jej pić, ale te proste czynności pozwoliły choć na chwilę oderwać się od gorzkich wspomnień. Tak bardzo pragnęła przestać o tym myśleć. Do diabła, Colin, wszystko przez ciebie...

Na początku czuła się tam świetnie. Miała dużo pracy, ale dawała jej ona prawdziwą satysfakcję. Dość szybko ustaliła, że ojciec nie ożenił się powtórnie. Wśród studentów miał opinię wymagającego i ostrego wykładowcy, który bez reszty poświęca się swojej pracy badawczej. Wzięła to za pomyślną przesłankę.

Widocznie głęboko przeżył rozpad rodziny i nie potrafił pogodzić się ze stratą. Jednak w dalszym ciągu nie mogła się zdecydować na osobisty z nim kontakt. Zaczęła szukać wspólnych znajomych.

Nie było jej smutno, nie czuła się nieszczęśliwa. Po raz pierwszy w życiu była wolna. Mogła poznać innych ludzi i spotykać się z nimi, kiedy miała na to ochotę.

Bliższą znajomość z Derekiem Hamiltonem nawiązała dopiero po swoim awansie na asystentkę dyrektora. Co prawda zauważyła go już wcześniej, ale różnica w ich statusie zawodowym kazała jej zapomnieć o ewentualnej znajomości. Zainteresowała go dopiero, kiedy awansowała. Zaczęli się umawiać. Ale to było już długo po jej spotkaniu z ojcem...

Zadzwonił telefon. Zatopiona w myślach podniosła słuchawkę.

– Rachel? – usłyszała niepewny głos Colina.

– A kogo się spodziewałeś? Po co dzwonicz? Sprawdzasz mnie?

– Przejeżdżałem obok ciebie i zaniepokoiłem się, bo w domu było ciemno.

– Jestem dorosła, umiem sobie radzić.

– Przepraszam – zamilkł na chwilę. – Nie powinienem był tak na ciebie napadać.

– Czyżby? Po namyśle doszedłeś do wniosku, że nie możesz przepuścić takiej partii?

– Do diabła, martwiłem się o ciebie! A zresztą, najwyraźniej zwracam ci głowę.

– Posłuchaj mnie, Colin, bo mam ci parę rzeczy do powiedzenia. Po pierwsze, jak śmiesz traktować mnie, jakbym popełniła jakieś przestępstwo?! To moje pieniądze i ja decyduję, co z nimi robię.

– Masz rację, chodzi mi jednak o pewne zasady.

– Uważasz, że powinnam ci była powiedzieć? Colin, dlaczego mam tłumaczyć się przed tobą z tego, co robię?

W słuchawce zapadła cisza.

– Oczywiście, rozumiem – odparł zmienionym głosem. – Dobranoc, Rachel. Nie będę ci już przeszkadzał.

Odłożyła słuchawkę. Wtuliła twarz w miękki brzuch niedźwiadka. Z oczu popłynęły jej łzy. Cemu zadała mu to ostatnie pytanie? Sądziła, iż zażąda od niej wyjaśnień, bo ją kocha? Boże, jaka jest głupia.

– To jego urażona duma – powiedziała do pluszowego misia. – Nie może znieść, że jego przypuszczenia nie okazały się prawdziwe. Tylko o to chodzi. Gdyby było inaczej, wysłuchałby ją, ale zamiast tego wyszedł po prostu z pubu. Nawet nie starał się zrozumieć.

– To na razie wszystko, Roger – powiedziała, chowając papiery do teczki.

– Dowiem się, czego trzeba i dam ci znać – zabrzmiał w słuchawce miły, głęboki głos prawnika. – Czy to bardzo pilne?

– Nie, ten chłopak potrzebuje pieniędzy dopiero w następnym semestrze zimowym.

– Dobrze, bo może należałoby na jakiś czas zwolnić tempo?

Zaskoczyło ją to pytanie. Jakby czytał w jej myślach. Też zaczęła się zastanawiać, czy jej zaangażowanie w stypendia studenckie nie ściągnie wkrótce na nią uwagi.

– Dlaczego? Boisz się, że za dużo wydaję?

– Na razie nie ma o tym mowy, ale nie zaszkodzi pomyśleć czasem o przyszłości. Istnieje możliwość, że kiedyś przestaną lakierować samochody. Co wtedy?

– Zostaną mi piękne wspomnienia. – Kamień spadł jej z serca.

– Mówisz jak staruszka, oceniająca swoją długoletnią działalność dobroczynną, a nie młoda kobieta ze wspaniałą przyszłością. Chodzi mi jedynie o pozostawienie czegoś dla twoich dzieci. Cóż to by była za ironia losu, jeśli pomagając tylu osobom, nie miałabyś potem pieniędzy na wykształcenie własnego potomstwa.

Momentalnie przed jej oczami ukazał się obraz trójki dzieci, bawiących się na plaży. Są zajęte budowaniem zamku z piasku. Dwóch chłopców i dziewczynka – wszyscy mają jasną karnację i ciemne włosy, takiego koloru jak Colin...

– To mi nie grozi. Umieję jeszcze myśleć rozsądnie. Dziękuję ci bardzo, Roger. Zadzwoń do mnie, kiedy zdobędziesz informacje na temat naszego ostatniego kandydata.

Teraz pozostało jedynie czekać. Jeśli wieści będą pomyślne, prześle wszystkie dokumenty do biura Rogera w Phoenix. U niej nie zostanie nic poza oficjalnym podaniem. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że Rachel Todd jest kimś więcej niż pośrednikiem.

System działał pomyślnie już dwa lata, tyle co jej współpraca z Rogerem. Oczywiście fundacja wzbudziła zainteresowanie, ale nikt nie domyślił się, kto za nią stoi. Rachel wyjaśniła to jedynie Derekowi, kiedy zorientowała się, że wie o spadku. Poza nim nikt nie miał pojęcia, jaka jest prawda.

Aż wynikła sprawa z Colinem... Nie zamierza jednak zrezygnować ze swojej działalności. Wygląda na to, że Colin zachował dyskrecję, ale ostrożność nie zawadzi.

Ktoś zapukał do drzwi jej gabinetu.

– Masz ochotę na lunch? – spytała Annę Garrett. Zawahała się. Kiedy indziej z radością przyjęłaby zaproszenie, bo bardzo lubiła Annę. Ale czy teraz warto narażać się na jej pytania? Zaraz... Annę to jedyna osoba, której Colin powiedziałby o pieniądzach. Wiedziała to, że związek Rachel z jej bratem był fikcją. Nie będzie pytać, dlaczego »już się nie spotykają. Nic jej nie grozi.

– Kanapki lepiej smakują w dobrym towarzystwie – zdecydowała i schowała papiery do szuflady. Prawdę mówiąc, po raz pierwszy od kilku dni miała ochotę coś zjeść. Dotychczas robiła to raczej z rozsądku, zamawiając w stołówce pierwszą lepszą potrawę.

Czekając na kanapki, rozmawiały z ożywieniem. Rachel była z siebie zadowolona, udało się jej nawet nie wspomnieć o Colinie. Annę chyba tego nie zauważyła.

Kiedy kelnerka przyniosła im jedzenie, Annę nie pożałowała sobie chrzanu, nakładając go grubo na kiszoną kapustę.

– Wiesz, chcę cię ostrzec – powiedziała.

Rachel nagle straciła apetyt. Oczyma wyobraźni ujrzała artykuł na pierwszej stronie gazety, wyjawiający wszystkie szczegóły jej życia. Czy Colin posunąłby się do tego? Nie, niezależnie jak bardzo był na nią zły.

– Chodzi mi o Święto Dziękczynienia – ciągnęła dalej Annę. – Zastanawiałam się, czy ci to powiedzieć, ale myślę, że powinnaś być przygotowana.

– Na co? – ulżyło jej trochę.

– Cała rodzina wydzwaniała do mnie i wypytuje o ciebie. Jedna połowa nie wierzy w twoje istnienie, a druga chce wiedzieć, czy przywieźć ze sobą ubrania odpowiednie na ślub.

– Żartujesz.

– Nie, moja droga.

– W takim razie dobrze, że nie przyjdę w ogóle.

– Rachel wzruszyła ramionami.

– Co?! – Porcja kiszzonej kapusty wylądowała na spodniach Annę. Sięgnęła po serwetkę.

– Dlaczego? Co się stało? Przecież była to część waszej umowy.

– Nic z tego nie wyszło. Pokłóciliśmy się i...

– Pokłóciliście się? Rachel, przecież to była zabawa. Jak do tego doszło? Zresztą... Nie, nie chcę wiedzieć. Więc zostawiasz Colina na pastwę losu? – westchnęła.

Nie odpowiedziała, chociaż chętnie wyjaśniłaby, że to nie była jej decyzja. Nieważne, które z nich zerwało. Teraz cieszyła się, że ominie ją ostatni akt tej farsy. Jak mogłaby spojrzeć w twarz rodzinie Colina? Udawać, wiedząc, że gdyby to od niej zależało... Ma szczęście, że udało się jej od tego wykręcić. A może nie...

– Zrozum, Colin nie będzie miał życia, kiedy rodzina zorientuje się, że ich nabrał.

– Jestem pewna, że sobie z tym poradzi – odpowiedziała, myśląc jednak, że należy mu się nauczka.

– Zresztą cały ten pomysł to był niewypał.

Annę miała minę, jakby chciała się z nią zgodzić. Nie powiedziała jednak ani słowa.

– Zresztą to i tak nie trwałoby długo – ciągnęła Rachel. – Wkrótce zacznym zajęcia,

więc będę miała dla siebie mało czasu.

– Zajęcia?

– Tak. Zapisalam się w zeszłym tygodniu. Wiesz, nie mogę się doczekać pierwszych wykładów. Dobrze się czuję w roli studentki. – Uśmiechem starała się pokryć brak entuzjazmu w głosie.

Annę patrzyła na nią dziwnie. Pod wpływem nagłego impulsu Rachel postanowiła zadać jej dość osobiste pytanie.

– Jak przekonałaś swojego męża, że nie posłubiłaś go dla jego pieniędzy?

Annę uniosła brwi ze zdumienia.

– Przepraszam – wymamrotała Rachel. – Zapomnij o tym. To nie moja sprawa.

– Gdyby zależało mi na jego pieniądzech, myślę, że postępowałabym zupełnie inaczej – odpowiedziała Annę. – Przede wszystkim byłabym dla niego o wiele miłsza. W każdym razie, jeśli masz ochotę opowiedzieć mi o bogatym mężczyźnie w twoim życiu, z przyjemnością posłucham.

Rachel już miała wyprowadzić ją z błędu, kiedy pomyślała, że wszelkie tłumaczenia tylko pogorszą jej sytuację.

Tego samego dnia, po południu, Rachel poszła do biura Teda Lehmana. Był zajęty w swoim gabinecie, usiadła więc w fotelu i zaczęła przeglądać informator Nicolet. Zastanawiała się nad wykładami, na które powinna chodzić, aby zrobić doktorat.

W pewnym momencie do pokoju wszedł Colin. Rachel siedziała w rogu, więc jej nie zauważył. Ona jednak miała świetną okazję przyjrzeć mu się dokładnie. Nie wyglądał dobrze, schudł, w jego oczach brakowało dawnego blasku. Zrobiło się jej go żal. To moja wina, pomyślała. Ale zaraz odczuła też złośliwą satysfakcję. To okropne, ale dobrze, że nie tylko ona cierpi. Niech ma za swoje.

Po chwili zdała sobie sprawę, że właściwie nie cieszy ją smutek i przygaszenie Colina. Jego widok rozbudził w niej raczej nadzieję. Może tęskni za nią, może żałuje, może jednak coś dla niego znaczy.

– Ted zostawił to dziś w samolocie. – Colin podał sekretarce brązową kopertę. Odwrócił się i wtedy dostrzegł Rachel.

Jak mogłam być taka ślepa? – zadała sobie nagle pytanie. Jego żywiołową reakcję w pubie można wytłumaczyć tylko w jeden sposób. Gdyby była mu obojętna, nie przejąłby się wcale jej postępowaniem. Czyżby więc...

Jeśli wszystko potoczyłoby się zgodnie z ustaleniami, to po kilku następnych tygodniach rozstaliby się, nie mając do siebie żadnych pretensji. Między nimi nie byłoby absolutnie nic. W takim razie czemu Colin tak się zmienił? Prawda, że jej uczucie zachwiało nieco równowagę ich stosunków, co jednak absolutnie nie tłumaczy ostatniego wybuchu gniewu.

Nie interesował się nią ze względu na pieniądze, tego była pewna. Annę miała rację: więcej można zdziałać pochlebstwami i miłymi słówkami niż złością. Teraz, gdy wiedział o pieniądzech, byłby dla niej szczególnie opiekuńczy i troskliwy. A zamiast tego o mało nie rozniósł pubu.

Nie mogę jednak obiecywać sobie za dużo. – Powiedział, że miał nas za parę przyjaciół. Poczul się urażony, że zataiła przed nim prawdę o swoim życiu. Ale przyjaźń czasem jest podstawą silniejszych związków. I tego właśnie pragnęła – dać szansę ich rozkwitającej wzajemnej sympatii i przekonać się, czym zaowocuje. Pogratuluj sobie, moja droga, pomyślała. Rozegrałaś to w najgorszy z możliwych sposobów. Straciłaś wszelką szansę.

Otworzyły się drzwi gabinetu rektora.

– Witaj, Colin.

– Odnoszę ci te dokumenty, Ted.

– Dziękuję, nie zauważyłem, że zostały w samolocie. Czy cała twoja rodzina zjeżdża do Lakemont na Święto Dziękczynienia? – Poklepał pilota po ramieniu. – A ty, Rachel, co wtedy będziesz robić? Dorcie i ja porywamy cię, jeśli zamierzasz zostać sama.

Patrzyła na Colina. Nie uciekł wzrokiem, jednak wyraźnie nie miał ochoty odpowiadać za nią.

– Ale głupie pytanie – zreflektował się Lehmann, sam sobie odpowiadając. – Oczywiście idziesz do McKennow. Proszę, wejdź do mnie. O czym chciałaś porozmawiać?

Musiła przejść obok Colina. Nie odsunął się, więc prawie się o niego otarła. Poczula ciepło jego ciała. Odżyły wspomnienia...

Ciekawe, czy on też pamięta o wspólnie spędzonych chwilach?

Nie zrobił żadnego ruchu. Wiedziała, że jeśli istnieje szansa na odbudowanie ich przyjaźni, inicjatywa musi wyjść od niej.

– Colin, jeśli wciąż chcesz, żebym przyszła, moja zgoda jest aktualna.

Cisza. Cisza trwająca całe wieki.

Może jej nie usłyszał? Czyżby mówiła niewystarczająco głośno? Jej samej wydawało się, że wręcz krzyknęła. Zmusiła się, by popatrzeć mu w oczy.

– Dotrzymuję swoich obietnic. Tylko o to mi chodzi.

– Nie będę nalegać – odparł w końcu. Jednak jego głos brzmiał obco.

Pokiwała głową.

– Wszystko zależy od ciebie. – Z pokorą przyjęła jego słowa. Opuściła ją wszelka nadzieja. Ruszyła w stronę gabinetu Teda.

– Rachel. – Przystanąła, słysząc swoje imię. – Przyjadę po ciebie w czwartek w południe.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Święto Dziękczynienia. Czwarty czwartek listopada. Tego dnia cały naród w zaciszach domowych ognisk dziękuje za jeszcze jeden rok pracy, zabawy i wolności. To okazja do zebrania się w pełnym rodzinnym gronie i wyrażenia wdzięczności za wszelką pomyślność, jaką zesłał los.

Dla Rachel tegoroczne święto to również powtórna szansa.

Byłaby gotowa już dawno, gdyby drżące palce nie odmawiały jej posłuszeństwa. Ubranie się było dla niej prawdziwą katorgą. Ale niezależnie od tego, ile czasu zabrało jej przygotowanie się, zegar na kominku wskazywał południe, a Colina jeszcze nie było. Starła się zachować spokój. Sprawdziła w lustrze, czy równo zapięła rząd złotych guzików swojej zielonej sukienki. Nie mogła sobie dziś z nimi poradzić.

Może rozmyślił się w ostatniej chwili i postanowił sam stawić czoło rodzinie? Niemożliwe, zresztą zadzwoniłby w takim przypadku. Był na tyle dobrze wychowany, że dałby jej znać.

Wyszła na werandę. Zdawała sobie sprawę, że dramatyzuje, ale nic nie mogła na to poradzić. Była zła na siebie za jawnie okazywaną niecierpliwość. Skoro jednak Colin tego nie widzi, nie ma to żadnego znaczenia.

Przybiegły do niej dzieci sąsiadów.

– Mama mówiła, że pani wychodzi na świąteczny obiad! Ale jeśli pani zostaje, to proszę przyjść do nas, dobrze?

– Dlaczego uważacie, że nigdzie nie idę?

– Bo już czas na obiad, a pani jest jeszcze w domu – odpowiedziało rezolutnie najstarsze.

– Skoro mama wysłała nas na dwór, żebyśmy nie przeszkadzali, to znaczy, że niedługo będziemy jeść.

– Jesteście kochane, ale... – Jej oczy stały się podejrzanie wilgotne.

Od strony Uniwersytetu dobiegł stłumiony nieco dźwięk dzwonów. Zupełnie jak w czasie Święta Jesieni, rozmarzyła się Rachel. Zaraz jednak potrząsnęła głową, chcąc odegnać wspomnienia. To bez sensu, pomyślała. Wkrótce mijające godziny nie będą miały żadnego znaczenia.

Nagle uświadomiła sobie, że skoro dopiero teraz wybiła dwunasta, to jej zegar się spieszy. Colin wcale się nie spóźnia. Jakby na potwierdzenie tego ujrzała, jak podjeżdża samochodem przed dom.

Była pewna, że ją zauważył. Nie wysiadł jednak od razu z samochodu. Rachel pożegnała się z dziećmi i pomachała ręką ich matce, która przyszła zawołać swoje pociechy na obiad. Weszła do mieszkania po futro. Oparła się o ścianę i wzięła parę głębokich oddechów, chcąc się uspokoić. Po chwili zamknęła drzwi i ruszyła w stronę auta.

Colin czekał na nią przy samochodzie. Był ubrany w szare sztruksowe spodnie i szaroniebieski sweter. Ręce trzymał w kieszeniach rozpiętej skórzanej kurtki.

– Ładny dziś dzień, prawda? – rzuciła, nie patrząc na niego. Miała nadzieję, że jej głos nie

brzmi nerwowo ani drżąco.

– Tak. Nawet świeci słońce. – Rozejrzał się dookoła.

– Może całe popołudnie będzie ciepłe. – Boże, co ja wygaduję! Czemu mówię o pogodzie, skoro pragnę rzucić mu się w ramiona i błagać o przebaczenie, pomyślała Rachel.

Pomógł jej wsiąść do samochodu. Widać było, że robi to bardziej z grzeczności niż z chęci przypodobania się jej. Był bardzo oficjalny. Takiego zachowania oczekiwała od niego, kiedy na początku znajomości umawiali się co do dystansu, jaki zachowają, gdy będą sami. Teraz jednak sprawiało jej to ogromny ból.

Widocznie za wiele sobie obiecywała. Z jego spojrzenia i zachowania w biurze Teda wyciągnęła pochopne wnioski. Zleje zinterpretowała lub starała się dostrzec coś, czego nie było.

Sama jest sobie winna i teraz musi z godnością przyjąć konsekwencje swego zachowania. Powinna wiedzieć, że dużo ryzykuje. Zatajenie przed Colinem prawdy było największym błędem, jaki popełniła w życiu. Teraz była tego pewna. Decyzja o pójściu na dzisiejszy obiad to rozpaczliwa próba ratowania czegoś, czego nie da się już ocalić.

Przed domem rodziców Colina stało mnóstwo samochodów, zaparkowali więc na ulicy. Idąc do wejścia, Rachel z trudem powstrzymywała łzy.

Poczuła rękę Colina na swojej szyi. Po chwili objął ją za ramiona. Musiał wyczuć jej napięcie, bo zaczął ją uspokajać.

Nie będzie tak źle. Szczęśliwie przeszedł przez gorsze próby. Gdyby chodziło tylko o kwestię spotkania z jego rodziną, pomyślała. Wiele wysiłku kosztowało ją, żeby go nie odepchnąć. Nie dlatego, że nie chciała jego dotyku, ale z powodu zakłamania. Mógł ich ktoś obserwować, więc Colin nagle zmienił się w czułego, zakochanego chłopca. Z trudem to wytrzymała.

W drzwiach domu stał jego ojciec, aby ich przywitać. Trudno, powiedziała sobie Rachel, trzeba robić dobrą minę do złej gry i absolutnie nie dać Colinowi poznać, ile jej to sprawia bólu.

– Zjawiacie się w samą porę. Pięć minut temu wyjęliśmy indyka – ogłosił z czarującym uśmiechem.

– W takim razie proszę zejść mi z drogi, idę przygotować sos – zarządził Colin. – Mama na mnie czeka.

W jadalni Annę rozkładała serwetki przy nakryciach.

– Uważaj, braciszku – ostrzegła go żartobliwie.

– Mamy na ciebie oko. Przemawia przez ciebie łakomstwo, bo masz nadzieję na kawałek chrupiącej skórki.

– Mojemu żółdkowi też czasem coś się należy – odpowiedział z humorem Colin.

W rogu pokoju bawiło się dziecko, którego Rachel przedtem nie widziała. Uroczy chłopczyk aż prosił się o buziaka. Odrzucił patelnię, którą ktoś dał mu do zabawy i, nieporadnie stawiając małe kroczyki, ruszył w ich stronę. Rachel chętnie pobawiłaby się z nim, ale Colin stanowczo, choć delikatnie, poprowadził ją do kuchni.

Pachniało tam wspaniale. Aromat pieczonego indyka i świeżych bułeczek mieszał się z

zapachem żurawiny i korzenną wonią ciasta z dyni, które kroїła właŝnie Camryn. Dwie inne młode kobiety, zapewne pozostałe bratowe Colina, nakładały jedzenie na półmiski. Odwróciły się, żeby spojrzeć na Rachel.

– Rachel, to jest Kaye – przedstawił jej blondynkę, zajęą przekładaniem ziemniaczanego puree. – A to Clancey.

Pocałował matkę w policzek i wziął od niej trzepaczkę do sosu.

– Ja to zrobię – powiedział. Tylko Rachel zauważyła, że ukradkiem sięgnął do indyka i oderwał kawałek zrumienionej skórki.

– Czy mogę w czymś pomóc? – spytała matkę Colina. Co za ulga, że Kathleen McKenna nie miała pojęcia o prawdziwych stosunkach, jakie ich łączyły.

– Trzeba zabrać indyka z pola widzenia Colina, bo nie będzie się mógł skoncentrować na robieniu sosu.

W odpowiedzi Colin zrobił tak nieszczęśliwą minę, że nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Kiedy ptak wylądował szczęśliwie na ogromnym półmisku, Rachel nie mogła pohamować zachwytu.

– Pani McKenna, to najpiękniejszy indyk, jakiego widziałam. Co pani robi, że jest tak równo zrumieniony?

– Och, to nic trudnego – odparła Kathleen.

– Zawsze tak mówi – odezwał się Colin. Stał przy kuchence, uniemożliwiając Rachel ucieczkę od siebie. Zadała sobie pytanie, czy zrobił to specjalnie.

– Bo to prawda. Upieczenie indyka jest tak proste, że nawet ja ze swoimi wątpliwymi zdolnościami kulinarnymi robię to dobrze. Wkłada się go najpierw do piekarnika na godzinę, a potem polewa masłem co trzydzieści minut.

– Któregoś razu, w Boże Narodzenie, zapomniała o maśle – wtrącił się znów Colin. – Upiekł się i nieźle smakował, ale nazwaliŝmy go Błady Dziób. Potem znów...

– Zajmij się lepiej swoją pracą – poleciała mu matka.

– Albo nigdy ci nie wybaczę grudowatego sosu.

Spojrzał na nią swoim uroczym wzrokiem psotnego chłopca. Czy kiedykolwiek jeszcze będzie tak patrzył na mnie, westchnęła Rachel.

Stół w jadalni wprost uginał się pod niesamowitą ilością jedzenia. Na honorowym miejscu, przed nakryciem pana domu, stał półmisek z indykiem. Dennis McKenna ogarnął wzrokiem całą rodzinę, zgromadzoną wokół stołu.

– Kath, czy zdajesz sobie sprawę, że jesteśmy odpowiedzialni za całą masę ludzi? – zwrócił się do żony. Nie czekał jednak na odpowiedź. Podał jedną rękę Rachel, która zajmowała miejsce po jego prawej stronie, a drugą swojej matce. Kiedy wszyscy zebrani złączyli dłonie, Dennis pochylił głowę.

– Zastanówmy się dziś ze spokojem i radością nad otrzymanymi błogosławieństwami. Jesteŝmy zdrowi, mamy wspaniałych przyjaciół.

– Piątkę dzieci, które wciąż się do siebie odzywają – dodała Kathleen. Rodzina przyjęła to wybuchem serdecznego śmiechu.

– Ich towarzyszy życia, których przyjęliŝmy z otwartymi ramionami... – Przy tych

słowach ścisnął lekko dłoń Rachel. Poczowała ulgę, że patrzyła akurat na swój talerz, a nie na Colina. I tak wystarczająco ciężko było jej siedzieć obok ukochanego mężczyzny i trzymać jego dłoń w swojej. – I oczywiście czterech przedstawicieli młodego pokolenia. Za to wszystko jesteśmy szczerze wdzięczni.

– Tato – przerwała mu Annę. – Rozumiem, że mama może mieć kłopoty z liczeniem, ale ty? Zaczynam się o ciebie martwić.

Dennis McKenna zmarszczył czoło. Puścił dłoń Rachel i głośno, wskazując po kolei na każde dziecko, przeliczył je.

– Wciąż wychodzi mi czwórka. Oczywiście liczę też to w drodze...

– Ja również – powiedziała Annę poważnym głosem. – Dlatego mówię pięcioro.

Wszystkie oczy zwróciły się na nią. Rachel zauważyła delikatny rumieniec na twarzy przyjaciółki.

– Początek sierpnia. Biedna dziewczynka, urodzi się pod znakiem Lwa.

– Ten chrzan – odezwała się Rachel. – Jak mogłam się nie domyślić, kiedy nałożyłaś go sobie tak dużo podczas naszego ostatniego lunchu!

Rodzina zaczęła jej gratulować.

– Czemu powiedziałaś „ona”? – spytał Colin.

– Annę, to równie dobrze może być syn.

– Absolutnie nie zgadzam się na chłopca. – Annę potrząsnęła głową.

– Dzieci – poprosił Dennis. – To nie czas na...

– Nie widzę żadnej różnicy – wtrąciła babka.

– Twoja córka, Annę, i tak będzie takim trzpiotem jak ty.

Dennis McKenna westchnął.

– No i już po modlitwie – mruknął Colin i puścił dłoń Rachel. – Przez ostatnie piętnaście lat ojcu nigdy nie udało się powiedzieć „Amen” przed wybuchem ogólnej kłótni.

Pan domu najwyraźniej i tym razem zrezygnował z tradycyjnego zakończenia dziękczynnej modlitwy. Już miał się zabrać do krojenia indyka, ale odłożył nóż.

– Jeśli ktoś chce jeszcze coś ogłosić, to proszę, niech zrobi to teraz, dopóki to ostre narzędzie leży na stole – powiedział. Nie patrzył wcale na Rachel, jednak ona odniosła te słowa do siebie. Przez moment miała ochotę wstać i publicznie wyznać swoją miłość do Colina. Tylko że nie wszyscy byliby zachwyceni tą wiadomością. Jedna osoba byłaby przerażona. Odrzuciła ten wariacki pomysł i skupiła wzrok na leżącej przed nią serwetce.

– Myślę, że to już koniec nowin na dziś, tato – odezwał się Colin. – Możesz kroić.

Podczas obiadu głównym tematem rozmowy była Annę. Rachel doszła do siebie na tyle, że zdobyła się na kilka uwag. Pomagając sprzątać ze stołu, nie zdziwiła się, kiedy Annę zagadnęła ją.

– Jestem niemądra. Przypuszczałam, że będziesz mi wdzięczna za zaabsorbowanie uwagi wszystkich moją osobą.

– To znaczy, że zaplanowałaś całą tę sytuację?

– Oczywiście. Wybrałam świetny moment, prawda? Nikt nie dopytywał się o datę waszego ślubu, zauważyłaś? Z twojej miny widzę, że nie. Razem z innymi byłaś zbyt

poruszona moją wiadomością.

W ciągu godziny poobiedni bałagan stał się wspomnieniem. Dzieci zaprowadzono do pokoju na popołudniową drzemkę. Dorośli zebrali się w salonie, by obejrzeć w telewizji rozpoczynającą się właśnie paradę.

Rachel zjawiała się ostatnia. Zrobiła to celowo, aby usiąść gdzieś w rogu i nie rzucać się w oczy. Może nikt nie zauważy, że trzyma się jak najdalej od Colina.

On jednak zajął miejsce na kanapie i kiedy tylko zauważył ją, posunął się dając Rachel do zrozumienia, że na nią czekał. Nie chciała robić scen ignorując go. Usiadła. Colin natychmiast objął ją zupełnie spontanicznym gestem. Następnie jakby o niej zapomniał i skupił się całkowicie na paradzie.

Rachel była jak sparaliżowana. Opierając się o Colina plecami, czuła jego oddech. Nie wytrzymała tak długo. Nie mogła pozostać obojętna na jego dotyk. Wcześniej czy później straci panowanie nad sobą. Czyżby Colin nie zdawał sobie sprawy, jak działa na nią jego bliskość? Całkiem prawdopodobne, odpowiedziała sobie. Na nim nie robi to żadnego wrażenia.

Ku jej zadowoleniu parada była krótka. Kiedy zaczął się mecz futbolowy, kobieca część rodziny McKennów przeszła do kuchni.

Zrób to samo, nakazała sobie. Nie było to jednak takie proste. Siedzenie obok Colina mogło wydawać się torturą, ale prawdopodobnie ostatni raz jest przy nim tak blisko.

W końcu wstała i dołączyła do reszty pań. Trafiła akurat na koniec przemowy Clancey:

– Ponieważ nie jestem jeszcze gotowa, aby założyć rodzinę, oto dlaczego. I na wszelki wypadek przywiozę ze sobą na święta butelki z wodą do picia, bo może to jest zaraźliwe.

– Jeśli to jest przyczyna – powiedziała słodko Camryn. – Tobie już nic nie pomoże. Ale na miejscu Rachel byłabym ostrożna.

Rachel zaczerwieniła się.

Annę zagryzła usta, próbując zdławić śmiech. Tylko spojrzenie zdradzało jej rozbawienie.

– Skoro mówimy o Bożym Narodzeniu, to czy nie czas przygotować kartki z imionami?

– Wiedziałam, że o czymś zapomnieliśmy – odparła Camryn. – Podaj mi notes. – Zaczęła wrywać kartki i pisać na nich imiona członków rodziny.

Spojrzała na Rachel. – To strasznie niedyskretne pytanie, ale czy ciebie też w to włączyć?

– Nie – odpowiedziała słabym głosem. – Nie będzie mnie tu.

– Spędzisz święta z rodziną w Arizonie? – spytała Camryn. – Szczęściara z ciebie! Wyrwiesz się na trochę z tego zimna.

Rachel popatrzyła na Annę. W oczach przyjaciółki dostrzegła współczucie. Wie, że nikogo tam nie mam, ale może nie domyśla się reszty.

Annę zaczęła coś mówić, ale nagle urwała. Zajęła się składaniem kartek, które wrzucała następnie do małej miski.

– Czy ktoś ma ochotę na grę w scrabble? – Rachel usłyszała głos wchodzącego właśnie Colina.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym już wrócić do domu – poprosiła go. Jak dziwnie brzmiał jej głos.

– Ależ skąd. Co tylko sobie życzysz. – Chyba wyczuł, że dłużej nie wytrzyma.

Ostatkiem sił Rachel zdobyła się na pożegnanie z gospodarzami. Tak trudno jej było udawać dobry humor i zadowolenie. Wiedziała, że poza przypadkowymi spotkaniami nigdy już ich nie zobaczy.

– Tak mi przykro – szepnęła Annę, obejmując ją. – Nie zdawałam sobie sprawy... Dobrze się czujesz?

Kiwnęła głową. Pomyślała, że jej przyjaźń z Anną właśnie się kończy. Chociaż bardzo lubiła siostrę Colina, ich znajomość tylko pogłębiałaby jej ból. Wyjaśnienia, zwierzenia, nie potrafiłaby się na nie zdobyć.

Colin nawet na nią nie spojrział, kiedy wsiadła do samochodu.

– Skończone – powiedziała.

Nie odpowiedział. Odezwał się dopiero parę minut później, po zaparkowaniu auta przed jej domem.

– Gdzie spędzisz Boże Narodzenie? Pomyślała, że się przesłyszała.

– Słucham?

– Mówiłaś, że wyjeżdżasz. Dokąd?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Nie obchodzi mnie to.

– Podczas świąt nie można być samemu – powiedział. – Będziesz mile widziana...

– Nie, dzięki. – Pomyślała, że zabrzmiało to za ostro, więc dodała: – Nie powinniśmy wykraczać poza ustalony plan. I tak trudno ci będzie wyjaśnić tę sytuację. Wiesz, zdaje mi się, że dzisiaj źle nam szło.

– Chyba masz rację.

– To tylko ci pomoże. – Usiłowała być pogodna. – Dziękuję, Colin, za wszystko. – Zobaczyła, że przysuwa się do niej. Dotknął jej włosów, potem pogłaskał po policzku.

– Do widzenia, Rachel. Życzę ci dużo radości. Zabrzmiało to jak błogosławieństwo. Słyszała już kiedyś te słowa, tylko kiedy? Po chwili przypomniała sobie. Pochodziły z jednej z irlandzkich piosenek, których słuchali u Brannigana.

Chociaż zbierało się jej na płacz, zmusiła się do uśmiechu.

– Do widzenia, Colin. Nie odprowadzaj mnie do drzwi, proszę... – Prawie uciekła z samochodu.

Radość. Nigdy nie będzie już dawną radosną dziewczyną. Nic nie zastąpi jej szczęścia, jakie mogłaby odczuwać, gdyby wiedziała, że Colin ją kocha.

Weszła do domu. Bandyta leżał na bujanym fotelu, swoim ulubionym miejscu. Rachel, spragniona kontaktu z kimkolwiek, podeszła do kota i przytuliła go do siebie. Teraz, kiedy mogła już bezpiecznie się rozplakać, łzy nie przychodziły. Tylko nieme łkanie wstrząsało jej ciałem. Czuła się, jak pobita.

– Co się dzieje? – usłyszała głos Colina. Zdała sobie sprawę, że nie zamknęła za sobą drzwi. Bezwiednie zacisnęła ręce na miękkim futrze kota. Bandyta aż miauknął z bólu. Colin podszedł do niej i zabrał protestującego zwierzaka. – Rachel, co z tobą?

Nie odpowiedziała.

– Nie ufasz nikomu, prawda? – westchnął. – Gdyby poproszono cię o śpiewanie w kwartecie, nalegałabyś na wykonanie wszystkich czterech partii. – Postawił kota na podłodze.

– Przepraszam. Nie mam prawa cię krytykować. – Odwrócił się w stronę drzwi.

– Uważasz, że ci nie ufam?

– Masz mnie za faceta pokroju Dereka. Przecież nawet dopytywałaś się, czy nie zmieniłem zdania co do przepuszczenia takiej okazji zdobycia pieniędzy.

– Nie jesteś taki jak Derek. On nigdy by mnie tak nie zranił. – Nagle poczuła, że musi mu powiedzieć, co naprawdę myśli. – Nie wiem, dlaczego miałabym ci ufać. Nie spotkałam jeszcze mężczyzny godnego zaufania... – Głos się jej załamał i wybuchnęła płaczem.

Colin objął ją mocno. Usiedli w wygodnym fotelu obok kominka. Trochę trwało, zanim się uspokoiła. Było jej tak dobrze w jego ramionach.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć? – spytał.

Tak, bardzo chciała to zrobić. Tylko nie wiedziała, jak zacząć.

– Czy chodzi tylko o Dereka? Mam wrażenie, że ktoś zranił cię głębiej... Twój ojciec? Czy to nie jego pieniądze?

– Poczekaj, pozwól mi samej o tym mówić. Pieniądze odziedziczyłam po ojcu, tylko że on wcale nie zamierzał mi ich przekazać. Dostałam ten majątek po prostu dlatego, że byłam jego jedyną żyjącą krewną.

– Zapomniał o tobie?

– Nie. Doskonale wiedział, gdzie mnie znaleźć. Po prostu nic go nie obchodziłam. – Opowiedziała Colinowi, jak przebiegały poszukiwania ojca i jak starannie przygotowywała się na spotkanie z nim. – Nie przewidziałam tylko, jakim to będzie dla mnie szokiem. Chyba oczekiwałam zakończenia jak w pięknej baśni, gdzie zaginiona księżniczka odnajduje swego ojca i po wzruszającym powitaniu żyją długo i szczęśliwie. W moim wypadku...

Colin przytulił ją mocniej.

– Śmieszne, tak długo odkładałam ten moment, jakby jakiś wewnętrzny głos przestrzegał mnie przed nim. A kiedy w końcu spotkaliśmy się, on oznajmił, że nie miał nigdy córki i nie ma ochoty na żadne kontakty ze mną. Ale ja wcale nie chciałam jego pieniędzy! Brzydzę się nimi. Gdyby zapisem w testamencie ofiarował mi sto dolarów, byłabym mu wdzięczna, bo miałabym dowód, że o mnie myślał. Tam, gdzie nie ma miłości, miliony są nic niewarte.

– Ścisnęło ją w gardle, ale pokonała wzruszenie.

– Z tego powodu przez pierwszy rok nie wzięłam z nich nawet centa. Derek miał mnie za wariatkę. Nie zmienił też zdania, kiedy zaczęłam pomagać ludziom. Uważał, że lepiej bym je spożytkowała, robiąc mu drogie prezenty.

– A ja nie rozumiałem, dlaczego byłaś taka skryta. Widziałem tylko twoje kłamstwa.

– Miałam ci wszystko wyjaśnić tamtego dnia u Brannigana, kiedy Peggy podzieliła się z tobą swoją radością. Zrozum, nie powiedziałam ci o pieniądzach, bo to nie miało żadnego znaczenia. Byliśmy przyjaciółmi, prawdziwymi przyjaciółmi. I chcę, żeby znowu tak było, dobrze?

Westchnął, ale się nie odezwał. Przestraszyła się. Czyżby mimo zwierzeń miała pozostać sama ze swoimi rozterkami? Ta głupia prośba o przyjaźń... Czy zorientował się, że to jedno wielkie kłamstwo?

– A właściwie, dlaczego wróciłeś?

– Zapomniałem dać Bandycie jego prezent. – Uśmiechnął się i sięgnął do kieszeni kurtki po paczkę kocich biszkoptów.

– Rozumiem – odparła. Nigdy w życiu nie czuła się tak upokorzona. Przyszedł tu dla jej kota, a ona wpadła w histerię i opowiedziała mu największy sekret swojego życia. Chciała wstać, ale jej nie puścił.

– Tamten wieczór w pubie był dla mnie prawdziwym szokiem. Uświadomiłem sobie, jak wiele ukrywasz. Byłem zdezorientowany.

– Colin...

– Nie mów nic, posłuchaj mnie. Czułem się jak głupiec. Widzisz, miałem ci się wtedy oświadczyć.

Łzy napłynęły jej do oczu.

– A później zrezygnowałeś już z tego? – spytała załamana.

– Sam nie wiedziałem, czego chcę. Zresztą pomyślałabyś, że chodzi mi o twoje pieniądze.

– Nie – szepnęła.

– Myślałem, że to jasne, co do siebie czujemy. Spodziewałem się, że zrozumiesz, że zobaczysz, jak kocham moją bystrą, wesołą, śliczną, uroczą i wciąż zaskakującą Rachel. Tak się wściekłem, bo zacząłem sądzić, że jesteś lepszą aktorką, niż przypuszczałem, nic do mnie nie czujesz i nie zamierzasz dzielić ze mną swojego życia.

– Więc to dlatego byłeś dla mnie taki oschły w biurze Teda? I dzisiaj, kiedy zostaliśmy sami? – Pogłaskała go po policzku drżącą dłonią.

– Tak do ciebie tęskniłem, a jednocześnie bałem się, jak zareagujesz. Więc w obecności reszty rodziny, kiedy nie mogłaś inaczej zareagować, wykorzystałem to. Podejrzewałem, że ostatni raz zdobyłem się na przytulenie ciebie. Gniewasz się?

– Już nie. Ale czułam się okropnie sądząc, że nie chcesz mnie dotykać. Colin, wytłumacz mi jedną rzecz. Dziś w południe zmusiłeś się, aby podejść do mnie, nie zaprzeczaj.

– Nie wiesz dlaczego? Stałaś na werandzie otoczona dziećmi, a ja nie mogłem pozbyć się myśli, że chciałbym, żeby to były moje dzieci, moja rodzina czekająca na mnie.

– Ach, tak. Rozumiem.

Jego pocałunki zawsze ją rozpałały, jednak tym razem były dla Rachel wyznaniem miłości. Położyła mu głowę na piersi i słuchała bicia jego serca.

– Zabawne – wyszeptała. – Daliśmy się złapać we własne sieci.

– No, niezupełnie – powiedział nieśmiało. Rachel spojrzała na niego podejrzliwie.

– Ja wpadłem dużo, dużo wcześniej. Tego dnia, kiedy zabrałem cię z Tedem do Minneapolis.

– Nie chcesz mi chyba wmówić, że zakochałem się we mnie od pierwszego wejrzenia?

– Zakochałem się to może za dużo powiedziane, ale wiedziałem, że chcę cię lepiej poznać.

– A ja cię nawet nie zauważyłam.

– Tak, kochanie. Myślałem, że nie jestem w twoim typie. Dopiero po spotkaniu w cukierni doszedłem do wniosku, że to nie chodzi konkretnie o mnie, ale o mężczyzn w ogóle.

– Nie dramatyzuj.

– Hej, przecież się nie skarżę. Zgoda na twoją szaloną propozycję była jedynym sposobem, żebyś zwróciła na mnie uwagę.

– Colinie, jesteś intrygantem!

– Dziwi cię to? – Pocałował ją znowu. Właściwie, za co miała się dąsać? To jej tylko powinno pochlebiać.

– A jeśli chodzi o pieniądze...

– Rachel, nie obchodzi mnie, co z nimi zrobisz. Możesz fundować stypendia, zakopać je w ogrodzie lub rzucać torby wypchane banknotami ze szczytu Empire State Building. Zgoda?

– Zamierzam skorzystać po trochu z każdej z tych propozycji – uśmiechnęła się.

– A wracając do świąt, panno Todd, czy wciąż pani zamierza wyjechać stąd na Boże Narodzenie?

– Raczej się na to nie zanosz.

– Nie. I lepiej zastanówmy się nad datą wesela, chyba że zamierzasz spędzić całe ferie świąteczne z moją rodziną.

– Im prędzej, tym lepiej. Wiesz, Annę będzie zaskoczona.

– Tak myślisz? – zapytał rozbawiony. – Nie domyśliłaś się jeszcze? To ja byłem tym facetem, z którym próbowała cię umówić na swoje przyjęcie.

– A to mała!

– Biedaczka, nie miała szczęścia. Powiedziałaś, że nie masz z kim przyjść, więc zwróciła się do mnie. Ale ja już wtedy byłem umówiony z tobą. Potem ty zadzwoniłaś do niej z wiadomością, że przyprowadzisz kogoś.

– Nic dziwnego, że zrobiła taką minę, gdy nas zobaczyła u siebie. Dobrze jej tak, po co chciała zorganizować mi randkę w ciemno.

– W półciemno. Nie zapominaj, że ja dokładnie wiedziałem, w co się pakuję.

– A mówiłaś, że wybierałaś się wtedy z kumplami na kręgle.

– Nie, to było później. Zresztą nie zwracajmy już sobie tym głowy. Jest tyle przyjemniejszych rzeczy, którymi możemy się zająć. – Przytulił ją do siebie. Zobaczyła w jego oczach ten znajomy blask. Tym razem wiedziała, że to znak miłości, czułości i namiętności. – Nie pozwól, żebym zapomniał o buteleczce z paliwem lotniczym dla ciebie w prezencie. To na wypadek, gdybyś miała ochotę użyć go zamiast perfum – wyszeptał między pocałunkami.